

PISMO DLA RODZIN.

№ 20. Warszawa, dnia 8 (20) Maja 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.



PRZYJACIOŁKI.

Kopija obrazu S. Witkiewicza.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Floryjan nie wiedział, co przed godziną stało się w dworku kasyjera.

Kasyjerowa była właśnie zajętą zbieraniem dojrzewającej fasoli w ogródku, gdy z biura wrócił kasyjer i z miną uroczystą do niej się zbliżył.

— Kochanie, rzekł do żony — chodźmy na ławkę pod orzech — mam z tobą kilka słów pomówić.

Kasyjerowa spojrzała na twarz męża i zeszła się z jego badającem wejrzeniem. Był w tem wejrzeniu jakiś niepokój — była ciekawość i niepewność.

Wzięła wiązkę fasoli, aby przy rozmowie nie próżnować i udała się z mężem pod orzech.

— W mieście różnie ludzie mówią — zaczął kasyjer bawiąc się kraciastą chustką, która w takim razie groziła łzami — ale na plotki człowiek zważać nie powinien!

— Co za plotki? z obawą zapytała żona.

— Człowiek—mówił dalej kasyjer nie odpowiadając na zapytania żony — człowiek powinien iść prostą, raz obraną drogą, a na plotki niezważać.

— Ależ... zlituj się! Co za plotki!

— Prostą drogą powinien iść człowiek, a wtedy wszystkie plotki upadną same przez się!... Kiedyś widziała Karola?

— Wczoraj!

— Nic nie spostrzegłaś na nim?

— Nieprzypominam sobie.

— Chłopiec więdnie jak trawa w jesieni. Schódł i przybladł... połowy go nie ma!

— Kocha się!

— Kocha się! I ja się kocham, a przecież uszu niespuściłam! Tu zachodzi inna przyczyna — on zabija się pracą! Mówił mi notaryjusz, że wczoraj pracował u niego do godziny trzeciej po północy... A wiesz dla czego on to robi?... Chce sobie zebrać coś grosza, aby przed Salomeą z czemciś wystąpić — aby nie powiedziano, że usiadł na fartuszku.

— Przecież wszyscy wiedzą, że młody człowiek, który dopiero do służby stanął, nie ma pieniędzy! Idzie tylko o to, że już jest na drodze pracy i z czasem zabezpieczy sobie przyszłość spokojną. Nadzieje awansu i dorobku są jego majątkiem.

— Tak, to bardzo pięknie... ale Karol to sztuka dumna. Niechciałby jak u żydów jest we zwyczaju, aby kilka lat był na chlebie żony.

— Jeżeli inaczej być nie może...

— Otóż o to chodzi, aby mu ulżyć i dopomódz bo inaczej zamęczy się i zabije.

— Myślałam sama o tem...

— Co sądzisz... gdyby ten tysiączek, co mam w kasie oszczędności.

Kasyjer niedomówił. Coś go nagle chwyciło za gardło. Otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w twarz żony, która spokojnie fasolę wyłuszczała.

Twarz kasyjerowej zaczęła się okraszać rumieńcem. Nieprzerywając roboty rzekła do męża.

— Zawsze i wszędzie wchodzisz mi w drogę. Jak widzę trudno z tobą wyżyć do końca życia. Nie tylko wydeptałeś mi najpiękniejszą fasolę, ale odbierasz mi najpiękniejsze moje marzenia.

Przestraszył się tych słów stary kasyjer — twarz jego przeciągła się jakby była z gutaperki.

— Kochanie — rzekł drżącym głosem, nie gniewaj się na mnie. Wprawdzie krwawo robiło się na ten grosz oszczędzony... a rozstać się z takim groszem jest bardzo boleśnie... ale wzgląd na położenie Karola.

— Jesteś rzeczywiście okrutnym człowiekiem! Żadnego względu nie masz na mnie!

— Nie gniewaj się!... Obiecałem cię wprawdzie na drugi rok wywieść do wód dla poratowania zdrowia... ale ponieważ Bóg łaskawy polepszył ci zdrowie i bez wody...

— Widzę, uwziąłeś się na mnie!

— Droga Michasiu... przecież i dla krwi naszej mamy pewne obowiązki... a Karol to twój siostrzeniec.

— Proszę cię.

— Tylko zastanów się nad tem... jesteśmy bezdzietni... a zresztą ten tysiączek może u niego nieść nam taki sam procent.

— Aha! krzyknęła żona rzucając mu spojrzenie zabijające — przecież teraz wzięłam górę nad tobą! Z procentem — nic nie będzie!

— Kochana Michasiu...

— Dosyć tego! Uprzedziłeś mnie w najpiękniejszem marzeniu mojem! Chowałam sobie tę myśl na pociechę starości mojej, aby mi w grobie przyświecała — a ty okrutny człowieku, ukradłeś mi ją i sobie przyswoiłeś!

— Jak to? Nierozumiem cię! zapytał zadziwiony kasyjer.

— Chciałam właśnie sama mówić z tobą o tym tysiączku, który Karolowi tak jest potrzebny — chciałam sama dla mego sumienia mieć tę pociechę, że przyczyniłam się do szczęścia człowieka... a ty — ty uprzedziłeś mnie!

— Co! krzyknął na całe gardło stary kasyjer — ty sama tę myśl miałaś aby ten tysiączek dać Karolowi?

— Myślałam właśnie nad tem aby ci to zaproponować... a tyś mnie podsłuchał i uprzedził!

Poczerwieniał jak piwonija stary kasyjer i rzucił się jak zapalony młodzieniec na szyję żony.

— Michasiu — krzyczał jej do ucha — ja myślałem, że ty się gniewasz na mnie za to, co mówiłem!

— Ale przecież wezmę górę nad tobą, niepoczciwy szpiegu cudzych myśli.... mówiłeś o procencie, który ma Karol opłacać... otóż ja chcę, aby on żadnego procentu niepłacił! Dać mu cały tysiąc!

Kasyjerowi przypomniały się młode lata. Objął żonę za szyję po raz wtóry i na jej rozpromienionej twarzy wycisnął tak głośny po-

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

VIII.

W gronie nadobnych cór twórczości literackiej jest jedna, zdradliwa bardzo władczyni myśli naszych. Przyobleczona w mniej lub więcej poważną szatę, trzyma w jednej ręce ostry miecz sprawiedliwości, a w drugiej skromną rózeczkę chłosty. Miano jej *ironija*. Biada wam, o felijetoniści, którzy zbyt często w polemicznych wycieczkach udajecie się pod opiekę tej pani. Bo okazując na pozór odmienne celom waszym lice, staje się ona niekiedy przyczyną dziwnych pomyłek. A w gronie śmiertelników są istoty prostoduszne, nieprzywykłe do kapryśnych wybryków humorystyczno-satyrycznego nastroju, przyzwyczajone raczej patrzeć na wszystko zwyczajnem okiem, bez owych szkieł, w pryzmacie których błyskotki twórczości literackiej w mniej proste przyoblekają się formy.

Biada wam ironiczni felijetoniści! — powtarzam raz jeszcze. Bo oto nagle niespodziewane gromy spadną na głowę waszę, i doznacie losu, jaki spotkał autora tej pogadanki... Oto w N-rze 17 naszego pisma, donosząc o usunięciu się od dyrekcyi opery pana *Münchheimera*, a objęcie tego obowiązku przez p. *Trombiniego*, w następujący wyraziliśmy się sposób: „Czyż aby dyrygować operą krajową, potrzeba znać ducha kompozycyj naszych, odczuć myśl jego twórczości. Od czegóż są śpiewacy! Do dyrektora należy tylko wywijać w właściwy sposób pałeczką, i za tak mozolną pracę słusznie należy mu się 4,000 rs. rocznej pensyi. Wprawdzie p. Münchheimer mniej trochę pobierał. Ale co p. Münchheimer to p. Münchheimer, a co p. Trombini to p. Trombini! Praca tem cięższa, czem mniej kompetencyi, a czem więcej pracy tem więcej i wynagrodzenia... Czyż nie wspaniała zasada!... W każdym razie z niecierpliwością oczekujemy pierwszych tonów ojczystej pieśni pod kierownictwem zagranicznego mistrza. Radujcie się duchy Kurpińskich, Nideckich i Moniuszków!..“

Przytoczyliśmy ten ustęp w całości, gdyż idzie tu głównie o formę wyrażenia. Otóż, łaskawi czytelnicy, powołujemy się na zdanie wasze. Czy w powyższej wzmiance jest choćby cień ironii względem p. Münchheimera. Jestem pewien, iż wszyscy odpowiecie przecząco na moje zapytanie. Tymczasem, o dziwy, z wielu stron napadano na felijetonistę waszego, jakoby ustęp ten wymierzony był przeciwko byłemu Dyrektorowi. Pominęlibyśmy w zupełności tę kwestyję, nie wzracając uwagi na głos prostodusznych poczciwców, do których przemawiać trzeba w niezbyt skomplikowany sposób, gdyby nie to, że uznając ze wszech miar zasługi p. Münchheimera, nie chcielibyśmy, aby rzucano najmniejszy cień podejrzenia na przyjazne nasze względem niego intencyje.

Kiedy mówimy o zasłudze i uznaniu, przypomina nam się p. Chodźko, niestrudzony reżyser opery komicznej. Ciężką bo pracę wziął na siebie ten przewodnik kankanowej muzy. Oto co chwila dowiadujemy się o nowem arcydziele, które wkrótce ma ujrzeć

całunek, że aż stadko wróbli z przestrachem z konarów orzecha uciekło.

— Widzisz, że moje na wierzchu! wołała kasyjerowa wymykając się z objęć męża — widzisz, że moja myśl lepsza od twojej! Wstydź się! Chciałeś tylko pożyczyć i to na procent! Wstydź się takiego miłosierdzia, jakiem lichwiarze frymarczą.

Zakłopotał się na chwilę stary kasyjer. W samej rzeczy wyrzut żony wydawał mu się słuszny. Ale prędko poznał się na podstępie i oddał piękne za nadobne.

— Tryumfujesz nademną niesłusznie — odpowiedział z miną skończonego dyplomaty, miałem tę samą myśl co i ty — tylko dla formy tak chciałem zrobić i przy tem obstaję. Młodemu człowiekowi niepowinno się dawać jałmużny, bo to upokorza go, jeżeli jest szlachetny — a psuje, jeżeli jest próżniak i niepoń! Ja chcę mu dać owe tysiąc reńskich, dać bez procentu — ale jemu powiem wyraźnie, że to pożyczka, od której procent będzie musiał opłacać. Niech młody człowiek wie, że ma dług do spłacenia — że na ten dług pracować musi. A wypłacony nam procent wróci znowu inną drogą do niego! A co? Kto lepiej pomyślał — czy ty czy ja?

Kasyjer rozparł się tutaj na krótkich nogach swoich jak bohater, który z miejsca ustąpić nie myśli.

Twarz kasyjerowej posmutniała trochę — ale piękne uczucie przykryło ten smutek jakąś mgłą świetlaną.

— Widzę, rzekła z uśmiechem — że ty zawsze górę nademną bierzesz, a mnie nic innego nie pozostaje, jak uznać twoje zwierzchnictwo.

Jakkolwiek w ostatnich słowach kasyjerowej była szczypta wyraźnej ironii — kasyjer jednak nie zastanowił się nad tą ironiją, tylko w prawem poczuciu tego zwierzchnictwa zabierał się po raz trzeci do szyi swojej małżonki i już szerokie usta swoje do ponownego ułożył pocałunku — gdy w grochowej alei ukazały się dwie charakterystyczne postacie, poprzedzone dwoma cieniami wrześniowego słońca. Był to radca sądowy i asesor.

Radca miał chód poważny i łokciową cygarnicę w ustach, a towarzysz jego asesor chromał trochę na nogę i miał nos lekko kameryzowany.

— A cóż tam znowu! zawołał z daleka radca — przecież lato Marcinkowe jeszcze daleko!

— Co to może fasola! dodał asesor — a ja tak mocno wierzyłem w wino!

Widząc tak dostojnych gości zrezygnował stary kasyjer z pieszczot marcinkowego lata i pospieszył z przywitaniem. Kasyjerowa zaś skorzystała z tego zdarzenia i czemprędzej opuściła ławkę pod orzechem, aby gości do domu wprowadzić.

— Tak ciepło — replikował radca — a ta ławka pod orzechem, tyle nam obiecuje.

— Niech radca takim nadziejom nigdy nie ufa! odparła z uśmiechem kasyjerowa — we wrześniu pewniejszy zawsze kominek... Proszę do pokoju — mam nawet ważny interes, w którym będziecie panowie sędziami! Mąż wyrządził mi wielką krzywdę — muszę mieć przecież jakiś odwet!

Rzekłszy to wzięła radcę pod rękę, a stary kasyjer nachylił się do asesora ale zamiast mu coś powiedzieć, naśmiał się mu do ucha szczerze i serdecznie.

Ruchliwy nos asesora zagłębiał się właśnie w ciemnościach sieni, gdy stary kasyjer posłyszał za sobą jakieś kroki. Obejrzał się i ujrzał Karola.

Karol był bledszy niżeli zwykle i miał chód chwiejny. Kasyjer pchnął asesora do pokoju, a sam wrócił się do progu, na którym właśnie stanął Karol.

— Chciałem właśnie rozmówić się z tobą, rzekł do niego kasyjer, a chwyciwszy go za klapę surduta poszedł z nim prosto pod orzech, pod którym zwykł załatwiać najważniejsze sprawy domowe.

Gdy obaj pod wonnem baldachimem stanęli wpatrzył się kasyjer w aplikanta, pokiwał głową i zapytał.

— Czy kochasz Salomeę i chcesz ją mieć za żonę?

Karol spłonął na twarzy a pochylona postać jego wyprostowała się nagle. Otworzył nabrzmiałe usta i właśnie chciał coś odpowiedzieć, gdy kasyjer wziął go znowu za klapę surduta.

— Już niechcę odpowiedzi — bo widzę ją! zawołał — a jeśli to co widzę jest prawdą — to idź do domu, weź świeżą koszulę, zawiąż chustkę z fantazyją i za godzinę — przyjdź do białego dworku.

— Do białego dworku — powtórzył uszczęśliwiony jakiemś dziwnem przeczuciem aplikant.

— Tak — do białego dworku — powtórzył z powagą stary kasyjer — i tam oświadczysz się babuni o rękę Salomei!

— Ale....

— Nie ale! Na plotki nie zważaj! Porządny człowiek prostą drogą zmierza do celu!... Ja tam już będę przed tobą i tę drogę uproszczę!

— Wujaszku....

— Nie ma chwili do stracenia. Tam czekają na mnie radca i asesor.... a to wszystko w twoim interesie! Wszystko pójdzie dobrze!

— Możeby....

— Nic nie mów tylko idź do domu i ubierz się w strój odświętny jak przystało!

— Ależ ja nie mam jeszcze żadnych funduszów! zawołał biedny aplikant, miotany na raz nadzieją i rozpaczą.

— Masz tysiąc reńskich do swojej dyspozycyi — rozumiesz? Tysiąc pożyczonych reńskich na pięć procent!

— Tysiąc reńskich! krzyknął aplikant.

— Nie trać czasu... i nic nie mów — ani słowa więcej! Za godzinę masz być w białym dworku. Pójdziesz ulicą Kościelną i tam spotkasz się zemną, gdy będę stamtąd wracał. Rozumiesz?... Bądź zdrów!

Kasyjer szybko oddalił się od Karola, który stał jakby rażony piorunem. A ten piorun był rozkoszny i przyjemny, tyle życia, tyle złotych marzeń wykrzesał z niego...

światło kinkietów teatralnych. Wprawdzie dosyć długo oczekiwać na nie musimy, ale widocznie p. Ch. trzyma się starej zasady: „Co nagle, to po dyjable.” W każdym razie cieszcie się Offenbachiści, Lecoquiści, Herviści i t. d. bo oto wkrótce komiczny reżyser przedstawi nam: „Co to jest miłość” podług postępowej teoryi pp. Hervé i Nargeot, i ukaże, „Kwiat herbaty” wytworu p. Lecoqua. Nie zapomina też o dawnych znajomościach. Stara przyjaciołka nasza, ukochana, uwielbiana „Piękna Helena” w nowej ukaże się szacie, sprawiwszy sobie nowego Parysa. Złośliwi mówią, że gust szlachetnej córy Grecyi popsuł się nieco.

Tymczasem Warszawa bawi się na dobre. Urocza syrena — wiosna, ukazała się nam wreszcie w całym blasku piękności swojej, powołując zwolenników świeżego powietrza, kwiatów i zieleni na odrodzone łono natury. Czuła i piękna czytelniczko! — używałaś zapewne tej miłej zabawy, którą nazywają pospolicie sielankowem mianem *majówki*!... Nie śmiałbym ani na chwilę powątpiewać o tem. Cóż bo rozkoszniejszego nad ten uroczysty pochód w krainę sielankowych zachwytów. Lekki powiew wiosennego zefiru kładzie ciepły pocałunek na koralowych usteczkach; uroczy głos ptasząt cudną melodyją unosi duszę, jeżeli nie w krainę niebiańskich symfonij, to przynajmniej w sferę ziemskich uczuć serdecznych, doniosły głos wiejskiej trzódki przypomina nam poetyczne uniesienia niezagasłej jeszcze muzy.

Nie wątpicie zapewne, łaskawe czytelniczki, że i sługa wasz używał tych rozkoszy. Opóźnił nawet niniejsze pisanie, ku wielkiemu zakłopotaniu zecera, aby odmalować wam wrażenia z tej uroczej peregrynacyi.

Zaledwie łaskawy otóż Morfeusz złożył był kilka uścisków na strudzonej skroni mojej gdy w okrutny sposób wyrywa mnie z objęć jego silny głos tuż nad uchem:

— Panie, niech pan wstaje! — panienki już czekają!..

Nie mogąc należycie skombinować pierwszego wrażenia, uważałem to za najniesprawiedliwsze pogwałcenie praw osobistych.

— Panna Michalina aż płacze!..

Tak czuła odezwa rozrzewniła woskowe serce felijetonisty.

Westchnąwszy głęboko nad utraconym rajem sennego spokoju, przetarłem oczy i wziąłem się czemprędzej do należytego przygotowania zewnętrznej formy osobistości swojej. Nadsyłane co chwila depesze o smutnym nastroju niecierpliwych duszyczek przyśpieszały tę funkcyją. Wreszcie staję przed obliczem zagniewanych dziewic, i otrzymawszy należyte *monitum*, z pokorą błagam o przebaczenie.

Wyruszamy z miasta....

— Brrr... coś zimno!.. — mówię z cicha do towarzysza mego.

— Poczekaj pan, niech no tylko wyjdziemy na świeże powietrze, zaraz będzie cieplej!...

Wychodzimy wreszcie na owe świeże powietrze.

Wrrr... Wicher niesie nam w oczy tumany piasku. Panienki w zakłopotaniu. Każda stara się zabezpieczyć od niegrzecznych wybryków nieproszonego gościa. Natura porywa

Kasyjer biegł szybko do domu, ale przy ostatniem drzewie zatrzymał się i z ukrycia spojrzał na Karola.

Karol stał jeszcze ciągle pod orzechem. Twarz jego nabrzmiała, oczy zapaliły się, a wrześniowe słońce ozłociło bujne sploty jego włosów, któremi w tej chwili kołysał figlarny wietrzyk.... jeden z tych które są zawsze w orszaku Hymenu...

Po niejakim czasie ocknął się Karol i spojrzał na zegarek jakby sobie coś przypomniał. Spojrzał jeszcze raz w koło siebie, na zielony baldachim orzecha i dach szczytowy dworku, jakby się chciał przekonać czy śni czy żyje na jawie.... wreszcie wstrząsł się i szybkim krokiem puścił się ścieżką.

Kasyjer stał za drzewem i z rozkoszą patrzał na niego. Widział jak nagle wyprostowała się postać jego — jak elastycznie uginały się pod nim nogi — jak wdzięczne były ruchy jego.

— Mój Boże, szepnął do siebie — co to jest kochać i być kochanym!...

I szparkim krokiem pobiegł do dworku.

Nie wiedział jednak o tem, że i jego postać wyprostowała się w tej chwili — że i jego kroki były elastyczne chociaż nie kochał w takiem znaczeniu, w jakiem kochał młody aplikant...

XIV.

W białym dworku nie miano wcale przeczucia o tem, co się w koło niego gotowało. Wszystko tam było w stanie normalnym. Babunia robiła pończochę i rozmawiała z kucharką o jutrzejszej leguminie, do której posiadała receptę po ś. p. Stolnikowej Owruckiej, spokrewnionej po kądzieli z Rabsztyńskimi. Nawiasowo zaś opowiadała jej jakąś cudowną historyją o błogosławionym Janie z Dukli, który urodził się o trzy mile od miasta powiatowego, niedaleko majątku Rabsztyńskich i w ich domu często z błogosławieństwem bywał.

W drugim pokoju czytała Salomea jakąś książkę, a przy każdej nowej stronicy patrzała w okno pomiędzy oleandry i liście figowe. Dzień był tak piękny i pogodny — słońce przygrzewało jak w lecie.

Do pokoju babuni wsunął się teraz ostrożnie stary kasyjer. Zamiast wszelkiego powitania przyłożył palec do ust jakby chciał powiedzieć, że w zanadrzu ma jakiś sekret niepośledni.

Babunia dała znak służącej, aby odeszła, i spojrzała z uwagą na gościa.

Kasyjer miał twarz mocno zarumienioną — błyszczące oczy jego pływały w jakiejś szklistej wilgoci. Zdaje się, że do tego wysokiego nastrojenia duszy przyczynił się także w części złotopłynny nektar z winnic węgierskich. Jedno i drugie zgadzało się zupełnie, bo kasyjer tylko w chwilach uroczystych zwykł używać tego nektaru nie jako środka do podniesienia temperatury, ale jako korony wszystkiego dobrego na świecie, które dokonało się przedtem.

Ujrzawszy się sam na sam z babunią zaczął kasyjer śmiać się serdecznie i szczerze. Po niejakim czasie przypomniał sobie, że proces śmiechu lepiej odbywa się w postawie siedzącej — usiadł więc na krześle i śmiał się znowu, śmiał się bez końca! A gdy na policzkach swoich poczuł łzy jak groch duże — dobył kraciastej chustki, otarł twarz i oczy i znowu śmiał się tak szczerze i serdecznie, jakby dopiero zaczął!

Wreszcie zakończył śmiech i wyjął z zanadrza spory plik papieru.

— No teraz powiedz mi waszmość — ozwała się babunia, co było powodem tak długiego śmiechu!

— Ach pani dobrodziejko — odparł kasyjer i znowu zaczął się śmiać...

— Pozwólże mi waszmość, żebym i ja razem się śmiała.

— Będziesz się dobrodziejka śmiała... tylko opowiem — zaraz!

— Słucham.

— Moja żona chciała mi figla wypłatać. Ułożyła sobie zrobić coś poczciwego, a mnie chciała zostawić tylko dobrodziejstwo zatwierdzenia... Otóż uprzedziłem ją — a jej została tylko pieczęć potwierdzenia!... A co nie warto to śmiechu?... Mówię dobrodziejce zła jak Ksantypa!... Ale co powiesz pani — skwitowała mnie! I tak mnie zręcznie złapała, że aż sam z tego się cieszę!... ha! ha! ha!...

Wyśmiawszy się do syta opowiedział kasyjer jak oddawna ułożył sobie zrobić Karola swoim spadkobiercą i dopomódz mu do szczęścia. Obawiałem się tylko żony, która jako kobieta oszczędna i zapobiegliwa kochała się bardzo w swoim dobytku. Z radością na twarzy, mówił dalej, jak przystąpiwszy do niej nie śmiało pod zielonym orzechem, dowiedział się po krótkiej rozmowie, że i ona o tem myślała, tylko gniewała się na niego, że ją tak niegodziwie uprzedził. Dalej opowiadał, jak między nimi nastąpiła formalna licytacyja i w końcu doszło do tego, że Karol nie tylko otrzyma znaczny kapitalik, ale nawet zapis dworku z ogrodem!...

— Widzisz dobrodziejka — mówił dalej kasyjer — co to są kobiety! Aby postawić na swojem — aby męża prześcignąć i dowieść mu, że on zawsze za jejmością w tyle postępować powinien—zdolne są do największych poświęceń.. Moja żona ogołociła się z wszystkiego, aby tylko mężowi na przekorę zrobić... a ja cieszę się z tego, bo tym sposobem osiągnąłem cel, do którego dążyłem!... Takiej to dyplomacyi potrzeba w małżeństwie — a kobieta niech się cieszy, że postawiła na swojem! Cha, cha, cha,

— Całej tej sprawy dobrze nierozumiem zauważyła Rabsztyńska.

— Przecież jasna jak słońce, odparł kasyjer — Karol kocha Salomeę, a Salomea nie jest mu nieprzyjazna. Czy czego więcej potrzeba?

— Czekałam już dawno na takie słowa.

— Stałoby się to już dawniej, gdyby Karol nie był uparty jak.... muł!

— Czy nie ma ochoty?

— Ależ gdzie tam! Ochotę ma i to taką, że o mało co ze skóry nie wyskoczy! Słowem — człowiek oszalał!

— Trzeba więc tę sprawę zakończyć!

— Czy uważałaś pani jak zmizerniał?...

— Może się czem martwi niepotrzebnie!

— Chłopiec bez grosza!

— Przecież wiem o tem. Nikt ze skał pieniędzy nie przynosi. Dom w pierwszych la-

---

nas w swoje uściski. Obraz staje się dramatycznym!...

Dotarliśmy wreszcie przy tak utrudnionych środkach komunikacyi do Wierzbna. Powoli ucichł wicher. Rozjaśniła się natura, ukazując nam przecudną okolicę. Z wysokiego pagórka uroczy malował się widok. Zielony kobierzec rozpościerał się dokoła. Szereg drzew, małe wzgórki i doliny, osnute gdzieniegdzie błękitną wstęgą wody — oto piękny obraz w uroczym blasku promieni słonecznych.

Jedna z nadobnych towarzyszek podzielała całkowicie mój zachwyt. Czuła jej dusza uwielbiała naturę, kierując się tylko ku innej sferze przedmiotów.

— Patrz pan, co za ładne kaczęta!

— Pani, jak widzę, jest wielką wielbicielką natury. A lubi też pani te piękne stadka, co tam na łączce się pasą!...

— O bardzo!...

W tej chwili przypomniał mi się utwór jednego z zapoznanych wieszczów chwili obecnej, z którym znajduję się w bardzo bliskich stosunkach życzliwości i przyjaźni. Arcydzieło to daje się właśnie zastosować całkowicie do nastroju duchowego sentymentalnej dziewicy:

Cudnym cię wdziękiem obdarzyły nieba,
Dusza prostotą gołębią zachwyca,
Pokornej myśli nie wiele potrzeba!—
O tyś niebianka, nie ziemi dziewica!
Duch twój prostaczy—bez czczej kokieteryi,
Omija marzeń głębie tajemnicze,
O Maniu, Maniu!—twe pulchne oblicze
Bóg do najlepszej weźmie menażeryi,
A duch twój biały w archaniołów rzędzie,
O pstrych migdałach wiecznie marzyć będzie!
Tymczasem, dziewczę, wśród świata i ludzi
Niech żądna troska twej myśli nie budzi!

Wkrótce na poetycznem łonie natury, nienieubłagana proza zakołatała do piersi naszych, i spore zapasy żywotne zaledwie zdołały zaspokoić ziemskie pragnienia doczesnej powłoki.

Nie będziemy wam opisywali dalszych szczegółów ochoczej zabawy.

Powrót mieliśmy dosyć urozmaicony. Jakieś grono wędrownych artystów, nie oczekując zaproszenia, postanowiło towarzystwem swojem uprzyjemnić nam wędrówkę, przyzwyczajając uszy nasze do niezbyt estetycznych wysiłków muzycznej produkcyi. Niepomagały najgrzeczniejsze prośby i ucieczka nawet; zaledwie wszechwładna potęga brzęczącej monety zdołała uwolnić nas od nieproszonego towarzystwa.

Wreszcie... strudzony felijetonista znalazł się w skromnej siedzibie swojej, i powierzywszy na chwilę strudzone ciało łaskawej opiece Morfeusza, przeciera w tej chwili zaspane oczy i pisze niniejszą pogadankę. Darujcie więc, jeżeli niezbyt udatną się wam wyda.

Piękna to rzecz majówka dla dusz czułych na wdzięki natury. Bo któż nie uwielbia tej uroczej bogini! Z drugiej znów strony, któż nie czuje szczerego uczucia litości, skoro ujrzy jej wdzięki, przyobleczone w szatę częstochowskich rymów. A tego rodzaju produkcyjami obficie nas darzą czasy dzisiejsze. Oto np. opiewa ktoś piękność Tatrów, a między innemi „*Wschód słońca*“ w następujący sposób:

tach nic go nie będzie kosztował — zamieszka z nami.

— Otóż w tem sęk że ma hardą głowę, na fartuszku nie chce siedzieć. Chcę wprzódy sobie coś zarobić, i potem własne gniazdo uwić.

d. c. n.

W ZWĄTPIENIU.

Próżno łzawa źrenica w głąb' ducha spoziera,
Czemuż myśli potęga na ustach zamiera? —
Czyż brak jej iskry życia, co prawdę rozświeca?
Czyż brak jej tego ognia, co natchnienie wznieca?
W tłumie myśli nie jedna cudnym blaskiem świeci,
Gdy ją pysznie przystroją wyobraźni kwiaty,
Czemuż stoję w milczeniu, ich siłą bogaty,
Nie mogąc w szatę życia oblec ducha dzieci?...
Czyż pierś ma wiecznie będzie tych myśli mogiłą,
Co w słowach odrodzenia nie zaznają świtu? —
Czyż stać będę wciąż blady, jak posąg z granitu,
Nie wsparty dumnych pragnień niespożytą siłą?
Blady duchu!—na wieki zamilkną twe usta,
Choć w czarze wielkich uczuć poświęcone łono,
Lecz nigdy wrzące myśli w słowach nie zapłoną,
I dusza, jakby bladą samotnością pusta,
Pozostanie na zawsze posępnem więzieniem,
Gdzie wrzącej wyobraźni świetlanem promieniem
Błyśnie tysiąc obrazów, w cudne strojnych blaski!—
Nie dla mnie szczere ludu bratniego oklaski,
Nie dla mnie uwielbienie zachwyconej duszy,
Pieśń ma nigdy niedoli jęku nie zagłuszy,
Nie wzleci jasna, cicha nad ojczyste chaty...
Zamrze duch mój, uczucia skarbami bogaty:
Daremnie błagać będzie wyzwolenia łaski
Myśl, spowita w okrutne milczenia łańcuchy!...
Próżno żądać odemnie będą bratnie duchy,
Abym rozkrył im świetne wyobraźni blaski!...
I stanę w cieniu... zimnej podobny kolumnie,
I choć skroń ma wzniesiona w błękit marzeń dumnie,
Każdy zimnym me lica powita uśmiechem,
Bom na wieki milczenia potępiony grzechem.

Więc precz marzeń ułudo!—skamieniałej duszy
Innej trzeba potęgi—innej pieśni trzeba!—
Niechaj czynu kolumny dumne ramię wzruszy!—
Duchu niemy!—zstąp z marzeń błękitnego nieba
Tu na ziemskie padole... w pracowników grono,
Gdy ci na skrzydłach pieśni wzlatać nie sądzono,
Niechaj czynu potęga święty dług zapłaci!—
Powstań duchu zbolały!—oto głos twych braci!...
Lub nad księgą mądrości schyl posępne skronie,
I niech w prawdy promieniu myśl twoja zatonie,
I z pism starych niech dzieje ludzkości wyczyta,
Lub nad księgą natury, gdzie prawda wyryta,
Niech potędze wszechświata nowe prawa kréśli! —
Powstań duchu zbolały!— bądź kapłanem myśli!

A więc głosu świętego słuchając potęgi,
Wstanę blady, lecz w nowe przystrojony blaski,
Otrę z pyłu mądrości zapomniane księgi,
Myślą i czynem bratnie pozyskam oklaski!

Więc żegnajcie me pieśni!— w zadumania chwili,
Gdy myśl smętna wspomnienia powita was łzami,
Gdy pierś wrząca zatęskni za młodości snami,
I samotnik skroń bladą w zadumie pochyli;—
Wtedy przed wyobraźni jaśniejącą szatą
Rozniećcie blask, co dawne lata przypomina!
Pieśni moje!— wy kiedyś wypowiedzcie światu,
Że smutna z wami była rozstania godzina!...

Antoni Pilecki.

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VII.
Gubernija Kowieńska.

(ciąg dalszy)

O 3 mile od Poniewieża, nad rzeczką *Upitą* do Niewiaży wpadającą, leży wieś *Upita*, niegdyś główne miasto krainy Upitskiej, a późniéj miasto naczelne powiatu upitskiego, który należał do województwa trockiego. Są tu jeszcze ślady zamku dawnego warownego. Na rozległych błotach za miasteczkiem, przerzniętych strumieniem Weszeta, wznosi się w samym środku sypany kopiec na 5 do 6 sążni wywyższony nad poziom w kształcie owalu, ze stromemi brzegami, około 4 morgów powierzchni mający. Gęste pokłady kamieni wskazują miejsce opartej na nich niegdyś budowy zamku, który wązka grobla z miasteczkiem łączyła. Ślady wału, baszt, pięciu bram i trzech szańców dosyć znaczne.

Słynną jest Upita z innego jeszcze względu. Wiadomo z dziejów, że w r. 1652 Siciński, poseł upitski, niepraktykowanym do tego czasu obyczajem sejm zerwał w Warszawie. Obecny temu kasztelan brzeski, w gniewie i żalu, że błogie nadzieje co do rozstrzygnienia wielu ważnych kwestyi, marnie zginęły, powiedział stosowną mowę, a nie żałując wyrzutów Sicińskiemu, zakończył temi słowy: *„bodajbyś przepadł.“* Trafiło to do przekonania obecnych senatorów, tak że jednomyślnie odrzekli: *Amen!* Spełniło się przekleństwo wyrzeczone przez kasztelana. Siciński zaledwo powrócił do domu, od piorunu ugodzony został, cała rodzina jego wkrótce wymarła i majątek przeszedł w obce ręce. Pogrzebiono go w sklepie w kaplicy, którą sam wymurował. A gdy kaplica uległa spustoszeniu szewc miejscowy znalazł trup jego wyrzucony jakoby z trumny i tak zeschły—ze skórą poczerniałą, jak mumija. Szewc, znajomy znać historyi Sicińskiego, użył jego szczętów dla własnej korzyści — zaczął go włóczyć po wiosce i po karczmach, pokazując za kieliszek wódki, lub zmuszając żyda do uraczenia siebie byleby nieprzestraszał w nocy dzieci. Poniewieranie to szczętów tego nieszczęśliwego człowieka trwało dość długo. Wielu umyślnie zjeżdżało się do Upity dla obejrzenia trupa *zdrajcy*, jak go nazywano. Czas jakiś podobno wystawiony był nawet w Babińcu w osobnéj szafie w kościele. Nareszcie uznano za słuszne pozwolić mu spocząć w nowym grobie, który dłoń sporządzono. Wyobraźnia ludu utworzyła potworne legendy o trupie Sicińskiego. Jedni utrzymują, że go psy wyrzuciły z grobu; inni że piorun go zabił w wiliją Bożego Narodzenia i wiele innych. Prawdopodobnie, przynajmniej jak utrzymują lekarze którzy jego skielet z przyschłą do kości skórą oglądali, że był dobrze balsamowany.

Na skalistej posadzie wapiennej zbudowane jest miasteczko *Poswol* nad rzeką *Ławeną* przy ujściu do niej *Swolki*. Miało ono silną warownię, któréj ślady widać za miastem na północ, przy ujściu *Toloty* do *Muszy*. Lud na-

---

Siedząc w góralskiej chaty okieneczku ciasnem
Patrzysz w niebo, a słońce, co z za gór wychodzi,
Pomimo, że firanka blask jego łagodzi,
Dwa rumieńce wypieka na twem liczku krasnem,
Bogdajby życie twoje takiem było jasnem
Jak to słońce, gdy w piękny dzień nad Gewont wschodzi!
Jak ono płynie w złotych promieni powodzi.
Tak ty przez świat płyń w szczęściu nieklamanem, własnem!
Przed zawiścią niech pancerz broni cię ze stali
Hartownej w nieszczęściu przyjaźnią! Usuwa
Taki pancerz cios każdy, zanim go wróg zwali.
I niechaj dni młodości twojej nie zatruwa
Myśl smętna, że tam jakiś przechodzień w oddali
Kocha cię, tobą żyje i nad tobą czuwa.

Co za szczytna prostota obrazowania!.. Doprawdy wartoby nawet na koszt Redakcyj wysyłać takich wieszczów w urocze okolice gór naszych, aby po powrocie zdobyć tak piękne płody twórczości poetycznej. A może lepiejby było, szanowny poeto, w cichości ducha uwielbiać naturę, zamiast trudzić mozolnie głowę nad niewdzięcznymi rymami, które niestety, nie zaprowadzą w krainę nieśmiertelności.

Ale...*a propos* nieśmiertelności!.. Czy wiecie, łaskawi czytelnicy, w jaki sposób w poczciwem społeczeństwie naszem posiąść ją można najlepiej. Sądzicie może, że potrzeba do tego jakich wielkich czynów, lub potężnej twórczości genijuszu?.. Broń Boże!.. Oto po prostu, jeżeli posiadacie należyty kapitalik, kupcie sobie lub wybudujcie skromną kamieniczkę i od Św. Jana lub Michała żadnemu lokatorowi nie podwyższajcie ani na grosz komornego. I dosyć!.. Wnet głośne trąby podziwu rozniosą imię wasze na wszystkie krańce nadwiślańskiego grodu, staniecie się bohaterami chwili obecnej!

W gubernijalnym grodzie *Kaliszu* smutnym bohaterem chwili obecnej jest p. *Zygmunt Zanożyński*, jeden z czynniejszych literatów prowincyjonalnych. Samobójcza dłoń przerwała pasmo życia pełnego energii i zapału młodzieńca. Spokój wiekuisty popiołom jego. W ubogiem społeczeństwie naszem śmierć każdej działającej pożytecznie jednostki jest trudną do powetowania szkodą. Rzućmy na świeżą mogiłę garść ziemi ze słowami szczerego żalu i goryczy!..

Ale...*a propos* prowincyi. Panowie literaci i uczeni mężowie nasi, śpieszcie czemprędzej do szlachetnego Lublina, z zasobami wiedzy swojej, bo oto szanowny korespondent Wieku niebywałe rzeczy nam obiecuje. „Niech no zjedzie do nas z Warszawy,“ powiada on, „jaki prelegent, a będzie spotkany przez delegacyją miejską, prowadzony pod rękę, pod baldachinem.“ Zaiste, miło jest dostąpić takiego zaszczytu. Co to za rozkosz dla literackiej duszy, przybrawszy poważną głęboką i tajemniczą minę, wędrować w uroczystym pochodzie wobec zgromadzonego tłumu, czując tyle ciekawych a wiele pięknych oczu zwróconych na siebie. Więc panowie dalej do Lublina!... My tymczasem w obce podążymy strony.

Walka, wieczna i zacięta walka w starej krainie *Hiszpanów*. Wszyscy korespondenci madryccy donoszą w pismach francuzkich, iż wkrótce na nowo rozpoczęte zostaną stanowcze kroki wojenne przeciwko *karlistom*, którzy skupili się przeważnie w północnej stronie kraju. W tych dniach właśnie ma nastąpić podobno stanowczy atak. Tymczasem armija ge-

zywa to miejsce *Pilekalnis*, t. j. górą zamkową. W późniejszych czasach Poswol było miasteczkiem zamożnem i handlowem.

Pod względem geologicznym wielkie mają naukowe znaczenie i sławę w całej Europie *Popielany* nad Windawą czyli Wentą. Należą one do formacyi Jura, do tak zwanego średniego jej pokładu. W zadziwienie wprawiają znajdowane tu w okolicy w znacznej ilości skamieniałości mięczaków morskich, tak doskonale zachowane, jak gdyby tylko co z morza wydobyte zostały. Popielany wzbogaciły naukę kilku nowemi gatunkami, jak np. typowy gatunek dwuskorupnych mięczaków, *Goniomya Dubois*, *Ammonites Cordatus*, *Ammonites Jason* i kilka innych. Wielu uczonych europejskich pisało o popielańskich skamieniałościach *).

W Poniewieżskim powiecie położone jest też miasteczko *Kryniczyn*, przez Zygmunta Augusta w r. 1565 nadane głośnemu w dziejach, księciu Michałowi Kurbskiemu. Tu on mieszkał i stąd prowadził ową sławną korespondencyją z carem Iwanem Groźnym. Sukcesorowie jego byli już wyznawcami wiary katolickiej i długi czas władali Kryniczynem. O 4 mile od Poniewieża leży wieś Ropow *Raginiany*, zwana od wyrazu *Ragana*, t. j. czarownica. Jest tu właśnie wyniosła góra, na której jeszcze w przeszłem stuleciu palono czarownice.

W pobliżu jest dużo kurhanów mogił. W jednym z nich po rozkopaniu znaleziono skielet olbrzymiej postaci, a przy piersiach jego 9 czaszek ludzkich. Mogiły te są z epoki żelaznej.

Okolice Birż, Poswola, Kryniczyna, Podbirża, stanowią szeroki pas wapiennej formacyi, skąd powstają częste zapadliny, niektóre bardzo głębokie. Jedna taka zapadlina znana pod nazwą *świętej jamy*, niedaleko miasteczka *Pompiany*, w której były obszerne korytarze na półtora metra wysokie, ma wodę źródlaną wewnątrz jakoby szczególnie skuteczną od chorób ocznych i na rany.

Geologowie sądzą, że w Poniewieżskim powiecie muszą być kopalnie węgla.

Wiłkomierz, miasto naczelne powiatu Wiłkomierskiego, nad rzeką Świętą albo Szwentą, oraz przy strumykach Sokołówce i Wiłkomirce. Kronikarze twierdzą, że już w X wieku książe Dorszprung, syn legendowego Polemona wzniósł tu gród warowny na wysokiej górze, którą i dotąd zamkową zowią. Prawdziwa historyja Wiłkomierza zaczyna się od wieku XIII, gdy zaczął podlegać częstym napadom rycerzy mieczowych Inflanckich. Znaną jest i pamiętną straszna bitwa stoczona pod Wiłkomierzem 1 września 1435 r. pod wodzą Zygmunta Kiejstutowicza, w której sam wielki mistrz Kirkshoff poległ wraz z kilkunastu tysiącami niemców. Jak bitwa Grünwaldska ostateczny cios zadała rycerzom krzyżowym pruskim, tak samo bitwa Wiłkomierska rycerzom mieczowym inflanckim. Wiłkomierz był znacznem miastem, używał prawa magdeburskiego, słynny był z jarmarku w dzień śś. Piotra i Pawła. Dziś jako miasto które minęła kolej żelazna idąca z Wilna do Petersburga, gdy przed tem właśnie leżało przy gościńcu pocztowym, straciło wiele. Zawsze to jednak i dziś piękne miasto, ma nie mało domów murowanych, a okolice czarujące. Liczą tu do 12 tysięcy mieszkańców. Miasto posiada 2359 dziesięcin ziemi. Domów przeszło 700.

Do starożytnych osad, z X wieku, współczesnych Wiłkomierzowi albo nawet i wcześniejszych należy *Dziewałtów* (Dziełtawas, Boży przybytek). Pamiątki praśtarych czasów jakie tu widzimy w około, udowadniają starożytność tej osady, gdy i piękna okolica, obfitość strumieni tu płynących służyły ku temu. Mnóstwo podań ludowych związano z tą miejscowością.

Przy ujściu rzeki *Siania* (stara) do Świętej, na wspaniałem wzgórzu wznosił się gaj święty dębowy. Tu pogrzebiony został książe *Kernus*, któremu córka *Pojata* i zięć *Żywibund* wznieśli pomnik w kształcie posągu. Później w tymże gaju *Utenes* książe Litewski pogrzebał ojca swojego *Kukowojtisa*, księcia żmudzkiego około roku 1220 i wystawił mu takiż słup, który postać zmarłego miał wyobrażać.

Kiedy te pomniki wzniesiono nie było jeszcze gaju. Dęby same powyrastały na świętej ziemi kryjącej zwłoki dwóch bohaterów, a miejsce to nazwano *Kokowojtis*. Nie ma już ani gaju, ani pomników, a nazwisko to i do dziś dnia przetrwało. Lud długo jeszcze i po przyjęciu Chrześcijaństwa składał w tym gaju ofiary bogom i ogień święty palił.

Naprzeciw mogiły czyli wzgórza Kukowojtisa, po drugiej stronie rzeki *Świętej*, przed nie wielu jeszcze laty istniał duży kamień zwany przez lud *Mak*. Ma on wydrążenie w środku, wysoki na 1 metr i ćwierć, obwód zaś wynosi przeszło 7 metrów. Miał to być kamień ofiarny.

Niedaleko od Kukowojtisa są kurhany-mogiły, jak przekonało rozkopanie jednego, z epoki jeszcze bronzowej.

Dziewałtów był własnością kilku znakomitych rodzin: książąt Ginwiłłów (dzisiejszych Kulwieciów), ks. Dowmontów, Kieżgajłów, ks. Wiśniowieckich i Podbereskich. Gintowtowie także musieli posiadać te dobra, gdyż mają przydomek Dziewałtowskich.

Ciż sami Dowmontowie, t. j. potomkowie Dowmonta księcia Ucianskiego, syna wiel. księcia lit. Romunta, z XIII wieku, byli właścicielami wielu innych dóbr, jak np. *Leonpola* i *Siesik*: Od tych Siesik Dowmontowiczowie nazywali się czasami *Siesickimi*. Stąd ma być początek tej rodziny; wiadomo jednak, że ostatnia z tego domu książąt *Dowmontowiczów-Siesickich*, Elżbieta, wyszła za Leona Radziwiłła w XVIII wieku i dom ten wygasł. Wszakże i dziś są jeszcze *Siesiccy*, którzy także początek swego domu od Dowmonta wyprowadzić usiłują. Siesiki leżą nad jeziorem

*) Pierwsi którzy opisywali Popielany byli I. E. Lachnicki z Ulmanem około r. 1824; po nich wspomniany już przez nas Dubois de Montpereux, profesor Eichwald, Pusch, Buch, Meide d'Orbigny, Murchison, Acassiz, Zejszner w Paleontologii Polskiej, nadto Tyszkiewiczowie Konstanty i Eustachy, Baliński Michał i inni.

---

nerała *Delattre* zadała silną klęskę jednemu z głównych wodzów Don-Karlosa *Castellsowi*. Skąd inąd znowu dowiadujemy się, iż w innej miejscowości w tym samym prawie czasie rzecz się miała odwrotnie. Delattre miał być pobity i sam nawet ciężko raniony.

Ciekawym jest list Don-Karlosa do wydawcy gazety *Univers*. Treść jego następująca: „Są utwory piśmiennicze, godne walki wojennej. Przychylne sprawie mojej artykuły Univers są to laury na polu piśmienniczem w walce, którą ja wydałem rewolucyi. Wyście zrozumieli, że korona monarsza nie stanowi jedynego celu dążeń moich, że walka, którą ja prowadzę, jest walką odrodzenia. Wiara prześladowana, ojczyzna w gruzach upadku moralnego, prawo pogwałcone—wszystko to zmusiło mnie do zajęcia obecnego stanowiska, z którego nie zejdę do końca. Bóg w wielkiem miłosierdziu swojem dał mi dotąd dosyć sił do zwalczenia przeszkód, które stały na drodze mojej, i ześle niezadługo zwycięztwo, o które błagam go w imię praw katolickiego kościoła i socyjalnych urządzeń monarchii. Wyście mężnie podtrzymywali moje zamiary. Dzięki wam za to! Karlos“.

Pokój czy wojna! Oto problema chwili obecnej, oto kwestyja stosunku między Francyją a Cesarstwem Niemieckiem. Rzucono pogłoskę, jakoby gabinet berliński wydał do rządu wersalskiego notę w przedmiocie uzbrojeń. Większość jednakże polityków stanowczo temu zaprzecza, przedstawiając w jak najlepszem świetle przyjazne stosunki obu mocarstw.

W dniu 23 kwietnia w Madrycie obchodzono publicznie wielką uroczystość na cześć *Cervantesa*. Sam monarcha z całym dworem uczestniczył w tym obrzędzie. P. Rossel, prezydent stowarzyszenia literatów, poświęcił słów kilka wspomnieniu autora „*Don Quichota*.“ Najznakomitsi artyści dramatyczni odczytali urywki z jego utworów. Uczniowie konserwatoryjum muzycznego odśpiewali hymn i kilka innych pieśni. Kiedy Don-Alfonso wraz z księżną Asturyjską opuszczali salę, zebrany tłum powitał ich głośnym okrzykiem: „Niech żyje król, niech żyje księżna Asturyjska!“ Stowarzyszenie literatów podało monarsze petycyją o zezwolenie na doroczny obchód tej uroczystości.

Uczucie dumy owładnęło *Wiedeńczyków*, skoro wykonany niedawno ogólny spis ludności wykazał, że miasto to zajmuje w tym względzie na stałym lądzie Europy pierwsze miejsce po Paryżu. „*Die Million ist voll!*“—takim wykrzyknikiem rozpoczął się wstępny artykuł jednej z popularniejszych gazet. Tak, w samej rzeczy ma Wiedeń milijon ludności. Lecz z drugiej strony stan ekonomiczny tej stolicy niezbyt dobrze się przedstawia. Milijon ten nie jest w stanie zabezpieczyć sobie środków utrzymania. Wspomnieliśmy już w przeszłym N-rze o rujnującym kryzysie finansowym i o smutnych dramatach, które są jego rezultatem. Kryzys ten rozpościera się na wszystkie sfery działalności społecznej, zaczynając od fabryk i zakładów przemysłowych, aż do dyrekcyj teatralnych i galeryj obrazów. Kwestyja ta żywo zajmuje społeczeństwo całe i władzę państwową.

Lecz powróćmy znowu na swojską niwę. Nie myślimy powtarzać wam oklepanych nowin o tatuowanym albańczyku, o wielkim magiku,

tegoż nazwania, między Szatami a Wiłkomierzem. Był i tu zamek, ale już późniejszy z wieku XIV, albo nawet XV.

Nad trzema strumieniami *Ucianką*, *Wieszą* i *Kraszonką*, o mil 9 od Wiłkomierza, leży *Uciana*, stolica księcia zawilejskiego Utena, który tu w wieku XII zamek obronny zbudował i dzielnie z rycerzami mieczowymi walczył. O pół mili od dzisiejszej Uciany, nad urwistym brzegiem Ucianki, wznoszą się dwie duże góry, wąwozami przerznięte. Jedna z nich nazywa się *zamkową*, druga *mogiłą Utena*. Rzeczywiście na tej drugiej, na samym szczycie jest wyniosły kurhan kwadratowy, ręką ludzką usypany. Zamkowa góra nieprzechowała śladów zabudowań; w czarnej ziemi, na jej powierzchni znajdują dużo gliny przepalonej, broń i narzędzia żelazne i bronzowe.

Pod koniec XIII wieku panował na Ucianie wspomniony przez nas książe Dowmunt. Tu właśnie w Ucianie odbyła się romantyczna scena z tym księciem. On i brat jego rodzony W. ks. lit. Narymunt mieli za żony dwie siostry rodzone, branki, córki Flandry Inflantczyka. Umarła żona Dowmunta. Siostra jej przybyła na pogrzeb. A była ładną. Zakochał się w niej Dowmunt i zatrzymał przy sobie. Rozwścieczony Narymunt obległ zamek Uciański z licznem wojskiem. Nie było ratunku — Dowmunt musiał uciekać i oparł się aż w Pskowie, gdzie go dobrze przyjęto i księciem Pskowskim ogłoszono. W Pskowie Dowmunt dał wielkie dowody męztwa, rozumu i cnót chrześcijańskich tak dalece, że Pskowianie do dziś dnia czczą jego pamięć jak świętego. Zwłoki jego spoczywają w starożytnej sobornej cerkwi w Pskowie, nie w grobach, ale w środku świątyni. Przechowany jest i olbrzymi miecz Dowmunta.

Z wypadku z żoną Norymunta lud potworzył fantastyczne legendy, a cały wypadek zastosował do Utena księcia, który miał także piękną brankę i krył ją w pieczarze głębokiej. Gdy już i Utena nie było na świecie, lud widział jak z lochu zamkowego wyjeżdżała piękna branka, a później unosiła się w powietrze i nikła.

Od początku przeszłego stulecia Uciana przeszła we władanie hr. Strutyńskich i przetrwała w ich ręku do ostatnich czasów. I dziś żyje prawy właściciel (jeden z najzasłużeńszych naszych pisarzy), ale proces dotąd nieskończony, chociaż lojalnie posiada na Ucianie drogą sukcesyi 600 tys. rubli.

W Ucianie było bogate archiwum, a w nim w dużym kufrze znajdowało się kilka bóstw litewskich. Gdzie się podziały te i wiele innych drogich pamiątek przeszłości — nikt niewie.

Nie tylko w samej Ucianie, ale i w okolicy niemało jest zabytków z epok dawnych. Tak niedaleko stąd jest wieś *Pokolnie* nad jeziorem, a przy niej góra *Pilekalnia* grodzisko odwieczne. Także grodzisko istnieje w sąsiednich wioskach *Kurklach*, *Sunguliszkach*, *Kalwelach*, *Szykszniach*, *Witkunach*. Nie mało też w tej okolicy kurhanów-mogił, które zwykle grodziskom, jako pierwotnym osadom towarzyszą. Niektóre z nich zbudowane zostały przez ś. p. Franciszka Wilczyńskiego, dziedzica sąsiedniego majątku *Jasan*, brata zasłużonego wydawcy Albumu Wileńskiego, Jana Kazimierza Wilczyńskiego.

d. c. n.

SPRAWY WYCHOWANIA

V.

Miłość Rodzicielska.

(Dokończenie).

Przepatrzmy w dalszym ciągu usterki jakich dopuszczają się rodzice, w postępowaniu ze swemi małemi dziećmi. Dziecię zaczyna chodzić, zaczyna wciągać się na krzesła, kanapy, ławki i t. d. Tu zaczyna się dlań prawdziwa niewola. — Nie wchodź tam bo upadniesz! — Odejdź stamtąd — bo się uderzysz! i ciągłe w tym rodzaju przestrogi. Dziecię słyszy co chwila ostrzeżenia o niebezpieczeństwach których nierozumie, a pozostawione bez opieki wspina się używając zakazanej wolności, spada, tłucze się a nawet kaleczy. Odtąd traci odwagę, staje się nieśmiałem, niezgrabnem i leniwem. Czyż nie właściwiej byłoby przedsięwziąć inne środki, aby dziecko nierobiło sobie krzywdy? Czyż nie lepiej byłoby przyuczyć je do ruchów ku którym samo okazuje ochotę? Pomagać w tem co jest naturalną dążnością dziecka—do ćwiczenia się w poruszeniach, wyrabiania w sobie siły i zręczności? Przyjście z pomocą w danej chwili, przy wykonaniu śmiałego jakiego przedsięwzięcia użyte zamiast wzbronienia, zadość uczyni żądaniu właściwemu w każdem zdrowem i energicznem dziecku, a tem samem przez wprawę i rozmierzanie sił własnych zabezpieczy je od stłuczeń i upadków, pochodzących z niezaradności dziecka, zbyt przestrzeganego. Lekkie niebezpieczeństwa na jakie wystawia się dziecko zaczynające chodzić, niepowinno zbyt niepokoić rodziców, kosztem własnych tylko prób i doświadczeń przychodzi człowiek do władania sobą tak w fizycznym jak i moralnym zakresie. Pozostawmy mu wolność ruchów, nie zakreślając z góry co dlań dostępnem być może: tym sposobem tylko dziecko nabędzie pewności siebie i zabezpieczy się nadal od wypadków jakim podlegają dzieci przez swe niedołęztwo, gdy od nich choćby na chwilę odstąpią dorośli.

Najbliższa to korzyść; ważniejszym jednak skutkiem odzywającym się w przyszłości dziecka przywykłego swobodnie się poruszać, jest wyrabiająca się w charakterze samodzielność, odwaga i umiejętność radzenia sobie w każdej okoliczności, tak rzadka w „maminych synkach" otaczanych w dzieciństwie kordonem przestróg i zakazów.

Dziecię potrzebuje dotknąć wszystkiego, wszystko obejrzeć, każda rzecz je zaciekawia. Tu kochający rodzice znajdują nowe pole dla obawy swej i troskliwości; ostrzeżeniom i zakazom niema końca. To parzy, to ziębi, to ko-

---

który mógłby się przydać dla metamorfozy głów literackich, o orkiestrze p. Fliege, która wyparła z doliny p. Sonnenfelda. Powiemy wam natomiast pocieszającą bardzo nowinę. Oto zwolennicy nadsekwańskiej konwersacyi myślą o założeniu u nas *pisma francuzkiego*. Czy świetny ten zamiar spowodowała prośba wzmiankowanego wyżej magika, który przesyłając zawiadomienie o przyjeździe swym jednej z redakcyj, upraszał o zamieszczenie jej przedewszystkiem w piśmie francuskiem? Nie przypuszczał on bowiem, żeby w cywilizującem się społeczeństwie naszem nie kwitła literatura w ojczystej mowie Franków. Sądził przytem, iż musi się ona cieszyć u nas największą popularnością. A tymczasem.... o hańbo!... Warszawa nie posiada ani jednego pisma francuzkiego. Dbałe o honor swego rodzinnego grodu indywidua wzięły tę sprawę do serca, i oto wkrótce jakie „*Revue de Varsovie*" ukaże się na arenie piśmiennictwa polskiego. Cześć wam szlachetni mężowie!...

Będziemy też mieli trupę dramatyczną francuzką pod dyrekcyją p. *Keller*. Dyrekcyja teatrów naszych zawarła z nim kontrakt, i cztery razy tygodniowo deski Wielkiego Teatru naszego zaszczycone będą obecnością nadsekwańskiej Melpomeny.

— „*Pardon Monsieur!*"—rzecze do mnie w tej chwili jeden z czcigodnego grona eleganckiej młodzieży, który raczył zaszczycić swą obecnością skromną siedzibę moję.

— Przepraszam cię mój drogi, zapal papierosa i poczekaj, aż skończę felijeton, to pogadamy z sobą.

— Ależ.... jeżeli nie chcesz uchodzić za *mauvais genre*, to przekreśl to, coś w tej chwili napisał—odrzekł natrętny gość.

— Przedewszystkiem mój drogi, jeżeli mówisz z ludźmi, którzy umieją jako tako władać ojczystą mową, bądź łaskaw nie używać żadnych barbaryzmów.

— Ależ mój drogi, jesteś zanadto purystą!.. Są przecież pewne utarte frazesy, które jakoś ładniej brzmią w ustach. Powiedzieć po prostu „przepraszam," — jakoś nie estetyczne; „pardon" to zupełnie co innego!

I szanowny interlokutor mój zaczął się na dobre zachwycać dźwiękiem francuzkiej konwersacyi.

Synowie nadsekwańskiej ziemi tak mało zajmują się naszą krainą, że każdy fakt z tej sfery zasługuje na uwagę. W „*Revue britanique*" znajduje się artykuł p. *Courrière* p. t. „*Un poète polonais*." Autor pisze tu o *Julijuszu Słowackim*. Poglądy nie są wprawdzie samodzielne i często fałszywe, lecz dzięki i za to.

Na zakończenie jeszcze jedna nowina. Pan *Karol Estreicher*, znakomity biblijograf nasz, wydał obecnie publikacyją p. t. „Zestawienie przedmiotów zawartych w 135 tomach *Bibljoteki Warszawskiej* z lat 1841—1875." Zestawienie to podzielone jest na następujące spisy: 1) według materyi, 2) wykaz autorów, których tłomaczono, 3) wykaz osób, o których pisano. Rzecz to bardzo ciekawa i pożyteczna, chociaż ze względów osobistych moglibyśmy zawołać tu głosem protestu, gdyż niestety, w gronie osób, w trzecim dziale wykazanych, znajdować się zapewne musi i felijetonista wasz, na którego w ubiegłym roku dwukrotnie spadały zoilowskie pociski poważnego organu.

le, tamto kaleczy — to może być uszkodzone, tamto uszkodzić może. Wyjąwszy trochę zabawek wszystko zresztą usuwa się z rąk dziecka. Troskliwość taka nie budzi w niem ostrożności, przeciwnie naraża na nieprzewidziane wypadki powstające z niedoświadczenia, a tymczasem powoli zaciera się pierwiastkowa dziecinna ciekawość, żywość i chęć do spostrzeżeń przymioty cenne, które miłość rodzicielska rozumnie rozwijać powinna.

Fałszywie zrozumiana troskliwość, mając na celu źle zrozumiane dobro wychowańca otacza go czujną do zbytku strażą. Za najlżejszą, częstokroć mniemaną tylko oznaką słabości dziecka rodzice spieszą z lekarstwami, mieksturami, dyjetą i t. p., wydelikacają organizm, osłabiają jakby umyślnie, i czynią czułym chorobliwie. A ileż to ciekawszych jeszcze oznak rodzicielskiej miłości można się napatrzyć do woli! A owe obsypywanie dziecka cackami i łakociami, cóż zeń robi jeśli nie łakomcę opychającego się słodyczami w których jedyne swe szczęście upatruje, grymaśnika znudzonego wiecznie, psującego tylko swe bezmyślne a kosztowne zabawki?

Wszędzie można widzieć dzieci radykalnie psute przez miłość rodzicielską jeśli nie bezrozumnie, to fałszywie, a więc zgubnie stosowaną do celów wychowawczych. Częstokroć trudno wierzyć oczom gdy się patrzy na owe niezliczone zabiegi, pieszczoty i sposoby rozliczne używane dla dogodzenia lub przeciwdziałania grymasom rozpieszczonego gagatka; owe trwogi, obawy i pociechy dopatrywane tam gdzie ich i śladu nie ma, drobnostkowe środki skierowane jakoby do systematycznego wyrabiania egoistycznej czułości i samowoli kapryśnej, przyprowadzających do rozpaczy najcierpliwszych nauczycieli.

W zaczarowanym kole miłości rodzicielskiej wszystko inaczej się przedstawia niż jest i być powinno; przez pryzmat chorobliwej czułostkowości dla dziecka patrzymy na nie jak na ostateczny cel naszych zabiegów i poświęceń, a nie jak na przedmiot rozumnej i odpowiedzialnej pracy mającej za zadanie wytworzyć człowieka. Dość nam zadowolenia bałwochwalczej miłości naszej osobistej, bez względu jakie będą skutki tego kultu i czego wymaga prawidłowy rozwój duszy i ciała ukochanego dziecięcia.

Jaka miłość — takie wychowanie. Próżna matka stroi dziecko jak ołtarzyk, opina je w papuzie sukienki, szarfy, błyskotki... karbuje mu włosy, aby się pysznić urodą swojej pociechy. Ojciec jedynie i silnie wierzący w żołądek co chwila ogląda języczek jedynaka i za lada obawą śle po doktorów; cieszy się każdem złośliwem słówkiem malca, wynosi pod niebiosa dowcip, podziwia rozum i po stokroć razy powtarza znakomite odpowiedzi i niezrównane znalezienia się syna który wszelkiemi sposobami wyrabia się na próżnego zarozumialca i najjawniej w świecie uczy się dogadzać sobie kosztem innych, jak najwytworniejszy egoista.

Naukę zwykle odkłada się na potem, aż się siły wyrobią i w homeopatycznych dozach udziela się jej nawet tam gdzie już wielki czas potemu. Toż to męka przecie!.. Ale zdarza się też przeciwnie. Kochający rodzice pragną jak najprędziej zrobić cud świata ze swej pieszczotki, więc ledwie szczebiotać zacznie zaczynają ją uczyć gorliwie. Dziecko takie pojętne! ma wyjątkowe zdolności! pochłania naukę! Uczy się paru języków odrazu, czytać, pisać, bajeczek, wierszyków, przeróżnych wiadomości zacząwszy od mitologii aż do astronomii. Mały mędrzec, staje się encyklopedyją, podziwem i przedmiotem powszechnej zazdrości. Tymczasem zasypywany nauką dzieciak mimo piękny cel uczynienia zeń zdolnego i jak najwykształceńszego człowieka chybia swego przeznaczenia. Wczesna nauka zabiła obiecujące zdolności przez exploatowanie ich nie w porę i najczęściej owe cudowne dzieci tępieją z czasem zupełnie, pojęcia ich mącą się, organizm karłowacieje — i sztuczne takie genijusze smutnie najczęściej kończą.

Miłość rodzicielska rzadko występuje w głębszem staraniu około moralnej budowy duszy wychowańca, choć w tej subtelnej robocie, najwłaściwsze ma pole zbawiennego działania. Tu pokazuje się cała powierzchowność takiej miłości i jej ubóstwo w racyjonalne środki. Morał, nauczki, przypowiastki zastępują tu wszelkie wychowanie czynu.

Bądź miłosiernym! mówią rodzice i dodają dziecku pieniądze do rozdawania biednym. Jakąż pobudką do ofiarności może być dawanie żebrakom pieniędzy cudzych których się wartość niepojmuje nawet? Dla umoralnienia dziecka powtarzamy mu często że wszyscy ludzie są braćmi że ich kochać potrzeba, tymczasem, dozwala się mu pogardliwie traktować służbę, w stosunkach światowych zachowywać pochlebstwo i obłudę. Zaleca się pracę pilność, szanowanie czasu, lecz z otoczenia wprost przeciwny przykład bije w oczy! Cóż warte słowa których się w czyn nie wprowadza wcale, możnaż przypuszczać w morałach siłę przeciw praktyce życiowej na inną zupełnie drogę wprowadzającej charakter dziecka? Miłość gotowa do błahych poświęceń zgubnie nieraz oddziaływających na wychowańca, jakże rzadko zdobywa się na trzeźwe, rozumne podjęcie obowiązku który wymaga często niejednej zmiany w postępowaniu trybie życia rodziców aby te były rzeczywistą szkołą moralności dla dziecka.

Cóż się staje z dziećmi przy wychowaniu których rodzice powodują się tylko fałszywą nieświadomą miłością? Widzimy to na każdym kroku spotykając ludzi słabych, wątłych cieleśnie i moralnie. Wychowanie otaczało ich niby kloszem, od zewnętrznego świata, i zamiast przygotować ich do życia, pragnęło raczej świat przygotować na przyjęcie wypieszczonych, cieplarnianych roślinek. Za późno ludzie tak wychowani wchodzą w zetknięcie z chłodem zewnętrznego powietrza z ostrymi krawędziami rzeczywistości i zaledwie wszedłszy, giną w prawdziwym świecie, wśród nieznanych sobie trudności. Patrząc na życie codziennie spostrzegamy skutki zaślepionego wychowania rodzicielskiej miłości, skutki których nieprzewidzieli zapewne rodzice pragnący przecie szczęścia swych dzieci. Czemże szczęście jeśli niezadowoleniem całej sumy potrzeb człowieczych, zadość uczynieniem dążeniom moralnym i umysłowym? Dokoła nas toczy się rozpaczliwa walka: walka o chleb, o myśl, o rozwój, o moralność, o postęp! W tej walce giną biedni myślą, słabi duchem, — cóż się stanie z niedołężnemi wytworami rutynicznej, ślepej miłości rodzicielskiej? Gdyby to ta miłość posiadała jasnowidzącą siłę, ogarniała cały obszar warunków do których człowiek sposobić się musi — wiodłaby wtedy pewnie dzieci nadprzyrodzoną mocą ku szczęściu. Miłość tu niewystarcza, owszem nieraz zawadą staje się ciężką jeśli jej niepopze rozum upatrujący naturalnych ścieżek ku prawdziwemu dobru. Nauka musi tu podać rękę uczuciu, ona tylko ukazując prawdę po za urojeniami w miejsce przesądnych i zakorzenionych zwyczajem przekonań, lub zadowoleń płytkiej miłości — środki mozolniejsze zapewne, ale prawdziwie godnej ludzkiej rodzicielskiej miłości i wprost dążące do uczynienia z potomstwa dzielnych szermierzy w walce życia i członków społeczeństwa, potrzebującego silnych i zacnych obywateli.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

I.

O leczniczej sile przyrody.

z Prof. i Dra Bock'a podał St. W. Łukowski.

(ciąg dalszy).

Nie ulega wątpliwości, że większa część wypadków znajduje się rzeczywiście w przyczynowym związku pomiędzy sobą, i dla tego, zauważywszy niezmiennie powtarzające się następstwo pewnych faktów, możemy naprzód oznaczyć dokładnie skutki danych przyczyn. Tam zaś, gdzie niepodobna wyjaśnić, przez jakiekolwiek prawo przyrodzone, stosunku pomiędzy przyczyną i skutkiem, tam należy za pomocą tysiąca doświadczeń i badań wykazać jasno i ściśle konieczności tego stosunku, zanim weń uwierzymy. Zaiste, gdyby większa część podagryków pozbyła się swej choroby, jedynie przez noszenie kości cielęcej, — gdyby wiele z chwalonych dzieci rzeczywiście zapadało na zdrowiu i t. d., wtedy mielibyśmy zasadę do przypisywania owych skutków wzmiankowanym wyżej przyczynom. Lecz czy dany wypadek był prostym trafem, czy też niezbędnym następstwem poprzedniego, o to bynajmniej nie pytają osoby łatwowierne i przesądne, i im bardziej jest nieprawdopodobnym, nienaturalnym i niedorzecznym, tym chętniejszą znajduje u nich wiarę; odbiło się to bardzo wyraźnie na sztuce lekarskiej, a szczególniej na homeopatyi.

Na wielki wstyd rozsądku ludzkiego, istnieje także jeszcze dotychczas i wiara w potęgę talizmanów. Powstała zaś ona stąd, że niektóre osoby, posiadające przy sobie te sztuczki, przypadkowym sposobem nie zachorowały, lub nie zostały ranione, zakłóte czy zastrzelone.

Nawet bardzo oświeceni, dzielni i potępiani za swą wolnomyślność francuzi, stają pod tym względem na równym stopniu z przesądnemi turkami i beduinami, gdyż prawie każdy żołnierz francuski nosi przy sobie talizman przeciw śmierci i różnym niebezpieczeństwom, i chociaż na polu bitwy tysiące noszących ta-

lizmany dostaje się na pastwę śmierci, lecz mimo to, reszta pozostałych przy życiu, nie traci wiary w skuteczności swych talizmanów, i twierdzi, że talizmany poległych były *fałszywe*... I nie tylko prości żołnierze popadają w taki przesąd, lecz nawet oficerowie sztabu nie rozstają się z swemi talizmanami; sam jenerał *Canrobert* nosi zawsze przy sobie talizman, — jenerał *Forey* posiada cząstkę krzyża świętego, — o księciu *Napoleonie*, powiadają, że ma talizman ochraniający od ran. Podczas wojny krymskiej, znajdywano na wielu rannych i poległych, talizmany chrześcijańskie, tureckie a nawet żydowskie.

Talizmany od chorób, można napotkać jeszcze teraz u osób wysoko wykształconych, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn; a ileż to matek obwiesza swe dzieci rozmaitemi, dziwacznego nieraz kształtu i zagadkowego pochodzenia przedmiotami, w celu, żeby niby to, ułatwić im wyrzynanie zębów, czy też ustrzedz je od bólu gardła, od skrzywienia nóg, lub jakichkolwiek innych dolegliwości i wad cielesnych?..

O przesądach myśliwych, lepiej już zamilczmy, gdyż nie pojmujemy, — jakim sposobem, dojrzały, rozsądny człowiek, a do tego jeszcze mężczyzna, może wbrew zdrowemu rozumowi, wierzyć na seryjo w jakieś pozbawione wszelkiego sensu brednie i według nich postępować. Co np. pomyśleć o osobie, która przy wyjściu na polowanie, usłyszawszy życzenie: „szczęśliwej wyprawy,"lub zapomniawszy coś wziąść ze sobą, porzuca natychmiast swój zamiar i wraca do domu?.. O kobietach nie ma co i mówić. Oto ich przekonania: Małżeństwo było zawarte w piątek, i dla tego... było nieszczęśliwe, (nie zaś dla tego, że jeden z małżonków, a niekiedy oboje byli ludźmi próżnemi, zazdrosnemi, kłótliwemi, samolubnemi, złemi, mściwemi i ograniczonemi); podróżni podczas jazdy, spotkali przelatującego w poprzek drogi zająca, i dla tego... powóz przewrócił się (a nie dla tego, że powożący był pijanym); na nowe mieszkanie nie przyniósł ktoś przedewszystkiem soli, chleba i nowej szczotki, i dla tego... popadł w wiele nieszczęść; dama wstała z łóżka lewą nogą, i dla tego... cały dzień była w złym humorze; matka, nie odgryzła po raz pierwszy paznogci swemu dziecięciu, lecz je obcięła, i dla tego... dziecię to nauczyło się później kraść; dziewczynka po skończeniu pierwszego roku, spojrzała w zwierciadło, i dla tego... kiedy dorosła, stała się dumną; albo nosiła w pierwszym roku czerwone trzewiczki, i dla tego... nie mogła potem znieść widoku krwi. Mnóstwo kobiet trzyma się z uporem następujących przesądów: obcięcie paznogci w piątek rano, a jeszcze lepiej w wielki piątek, ma ochraniać od bólu zębów; podczas ślubu, panna młoda powinna mieć pieniądze w trzewikach, ażeby później nigdy jej nie zbywało na takowych; obok tego, powinna jak najbliżej postępować za swym narzeczonym, aby nie być z nim rozłączoną; jeśli zaś pragnie być panią domu, powinna nadeptać mu na nogę. Kiedy służąca przychodzi do naszych obowiązków, niech najprzód uda się do otworu pieca, ażeby prędzej przywykła do miejsca. Panna nie pozwoli mężczyznie obetrzeć się jej fartuchem, gdyż inaczej, przestanie on ją kochać; nie da mu też dla tego swej szpilki. Jeśli matka odstawia dziecię od piersi, kiedy kwitną drzewa, to będzie ono niedługo siwem; kawaler nie powinien dawać pannie na własność żadnej książki, bo miłość przepadnie, — jeśli zaś daruje jej nożyczki lub scyzoryk, miłość będzie zerwana. Przeciw mimowolnemu przywiązaniu pomaga następujący środek sympatyczny: należy włożyć nowe trzewiki i biegać z całych sił do tej pory, aż nogi się zapocą,— następnie, zdjąć prawy trzewik i napić się z niego piwa albo wina, — a od tej chwili, powstanie w tobie nienawiść do osoby, o której myślałaś.

Lecz dość już o tych bzdurstwach; istnieje jeszcze tysiące niedorzecznych prawideł i zwyczajów, opartych na zbyt śmiesznych przesądach, praktykowanych nawet przez najrozsądniejsze kobiety. W obec tego, nie ma się czemu dziwić, że kobiety przy swej skłonności do przesądów i niewielkiej zdolności do rozumowania, również tak mocno wierzą w sny.

Najochydniejszym jednak ze wszystkich przesądów, bo pociągającym ludzi do okrutnego i dzikiego nieraz obejścia się, i zależnym także od grubej ciemnoty i fałszywego pojęcia przyczyn i skutków, — jest wiara w czary. Stara, brudna kobieta z zaczerwienionemi oczyma wejrzała do obory, i wnet krowy przestały wydawać mleko, padło kilka sztuk trzody, zachorował parobek i służąca. Widocznie, kobieta owa jest czarownicą, i trzeba ją wziąść na tortury i spalić... Ostatnią karę publiczną przeciwko czarownicom wymierzono w Niemczech w 1783 r.; w kraju naszym, na południowo-pruskiej granicy, spalono w 1793 r. dwie czarownice. Ile zaś dawnemi czasy natopiono i spalono tych nieszczęsnych kobiet, o tym mogą dać niejakie wyobrażenie następujące fakty. W Braunszweigu, pomiędzy 1590 i 1600 r. spalono tyle czarownic (niekiedy po 10—12 dziennie), że miejsca tracenia podobne były do palących się lasów; w księztwie Reiss, od 1640 do 1652 r. skazano na śmierć tysiąc czarownic, pomiędzy któremi były dzieci od lat 1 do 6 lat mające; w Osnabrück, w 1640 r. zginęło na stosie do 80 czarownic; w hrabstwie Werdenfelskim w przeciągu tygodnia skazano na spalenie 133 czarownic!

W naszym wieku, kiedy nauka i miłość bliźniego uczyniły tak znaczne postępy, sprawy sądowe przeciwko mniemanym czarownicom ustały; lecz prosta, ciemna klasa ludzi jeszcze dotychczas trzyma się starych przesądów. Nie zbyt dawno temu, bo w 1832 r., w Gdańsku rzucono do morza pewną nieszczęsną kobietę, uznaną za czarownicę, i utopiono ją w najokrutniejszy sposób; nawet w 1854 r., w jednej szląskiej wsi, wszyscy odmówili odprowadzenia na cmentarz, zwłok staruszki, którą posądzano o czary! W złe spojrzenie, wierzą jeszcze i teraz, nawet wykształceni umysłowo karciarze.

Przeciw chorobom od najdawniejszych czasów używano i dotąd jeszcze używają nadzwyczaj śmiesznych i niedorzecznych środków. Osobom ciemnym można to w części wybaczyć; zdawało się, że po użyciu owych środków, dawały się spostrzedz zmiany w zjawiskach choroby i przyjmowała ona niekiedy obrót pomyślny. Lecz zmiany te następowały nie *wskutek* użytych środków, a *bez względu* na takowe, i tylko dzięki leczniczej sile przyrody. Jej to w większej części wypadków, pomimo lekarza i lekarstw, chory zawdzięcza swe wyzdrowienie. Jedynie nie zwykła łatwowierność, gardząca ludzkim rozumem, może przyznawać skuteczność sympatycznemu i homeopatycznemu — sposobom leczenia. A tym czasem, ileż to osób gotowe są zaprzysiądz skuteczność zamawiania krwi, róży, gorączki przypuszczającej, jak niemniej skuteczność rozmaitych sympatycznych środków przeciwko brodawkom, znamionom, nabrzmiałościom i t. d. Nie dawno jeszcze, zalecano przykładanie gołębiego kuperka do gołej powierzchni miednicy dziecięcia, cierpiącego drgawki (konwulsyje), jako pewny przeciwko tej chorobie środek, mający przenieść ją na gołębia.... A iluż to głupców i teraz jeszcze wierzy w cudowną uzdrawiającą siłę *Artura Lutze* z Köten, który przyrzeka wyleczyć prawie wszystkie choroby, swym magnetyzmem zwierzęcym i magnetyzowanemi środkami homeopatycznemi?! Prawdziwie, trudno pojąć, jakim sposobem tylu chorych, nie pozbawionych przy tym zdrowego rozsądku, nie wstydzi się udawać do pomienionego szalbierza, tyle czelnego, iż ośmiela się ogłaszać publicznie, że za pomocą samego głosu wyleczył osobę, co upadła na ulicy i wywichnęła sobie nogę, — że w ciągu godziny powrócił słuch głuchemu księdzu, posławszy mu siłę swej woli i to z odległości 40 mil; — pewnemu zaś tkaczowi, nie zdolnemu od urodzenia do rozróżniania kolorów, do tego stopnia polepszył wzrok, że tenże mógł poznać kolor rosnącej przed domem gieorginii, i to jedynie za pomocą dmuchnięcia w jego oczy... Pewnemu przesądnemu pedagrykowi, któremu już nie przynosił ulgi cielęcy talizman, radziła jedna pedagryczna przyjaciółka następujący środek sympatyczny: chodzić przez trzy piątki po zachodzie słońca pod lipę i objąwszy ją rękoma, wołać: „lipo, ja mam podagrę, a ty jej nie masz, weź więc ją odemnie, to u mnie jej także nie będzie" i wtedy lipa powinna zwiędnąć, a podagra zginąć!..

Większa część przesądów pochodzi stąd, że ludzie bezmyślnie odnoszą skutki do pewnych przyczyn. Ma to miejsce zarówno u osób wykształconych, jak i ciemnych. W medycynie, nieumiejętność ta prawidłowego związania przyczyny ze skutkiem, wyraziła się, na wstyd nauki, w dążeniu do cudów i szalbierstwa, — lecz prawdziwie, pora już teraz, ażeby nauka oczyściła się nareszcie z przesądów i ohydnego kuglarstwa.

Sztuka lekarska (t. j. praktyka lekarska, której bynajmniej nie należy mieszać z nauką medycyny), mogłaby stanąć na pewniejszym gruncie, gdyby większa część leczących, wprowadzonych w błąd przez nałóg odnoszenia skutków do niebywałych przyczyn, nie powodowała się próżnością i nie przypisywała swemu sposobowi leczenia, wszystkich pomyślnych zmian, jakie zdarzą się w traktowanej przez nich chorobie, a wszystkich nie pomyślnych nie spędzała na przyrodę, — chociaż najczęściej dzieje się naodwrót.

Tacy lekarze, bezwątpienia nie pozostawiali nigdy choroby własnemu jej biegowi, nie leczyli bez lekarstw t. j. tylko dyjetetycznie, i dla tego zupełnie nie wiedzą, co przyroda jest wstanie zdziałać w chorobach. Przywykli oni powoli wierzyć w skuteczność niezliczonych środków aptecznych, używanych jeszcze w głębokiej starożytności (kiedy nie robiono takich prawidłowych, jak obecnie spostrzeżeń), przywykli wierzyć, że własności tych środków dokładnie są zbadane, — i wiara ta, nakazuje im uważać za występek, wielką wątpliwość o ich doktorskiej biegłości. Każdego zaś, co ośmieli się na podobną wątpliwość, mianują bez namysłu, człowiekiem ciemnym i posądzają go o chęć poniżenia nauki lekarskiej oraz jej przedstawicieli. Krótkowidze! nie mają oni najmniejszego pojęcia o tem, na czem właściwie mogłaby i powinna polegać działalność lekarska. Domagają się tylko odkrycia zupełnie stanowczych środków przeciwko pewnym chorobom, podczas, gdy nauka dąży do zapobiegania chorobom, albo też, poprzestając przeważnie na środkach dyjetetycznych, pozostawia je własnemu biegowi.

Zaiste, lekarz prędzej dojdzie do sławy i majątku, jeśli, zamiast skromnie przypisać wyzdrowienie chorego, leczniczej sprawie przyrody, przybierze poważną postać i powie: ponieważ ulga i wyzdrowienie, nastąpiły jedynie po użyciu środka, tak umiejętnie wskazanego przezemnie, chory więc tylko mnie i mojemu lekarstwu zawdzięcza powrót do zdrowia.

Homeopatyja, przekonywa bardzo jasno, do jak śmiesznych przesądów, może doprowadzić ludzi niewykształconych, ta uparta dążność odnoszenia zjawisk do niebywałych przyczyn. Tak np., homeopaci sądzą, że jeśli kto użyje rumianku, wtedy zjawi się u niego (według *Hahnemana*) posępne usposobienie umysłu ze śpiączką, wielki apetyt na kwaśną kapustę, przerażające widziadła senne, trzeszczenie i skrzypienie w lewej połowie mózgu, bezustanna dążność do mówienia o przeszłych niemiłych wypadkach i wyrzuty sumienia... Kto zażyje ciemierzycy, ten ubiera się nieprzyzwoicie, wpada w ponure usposobienie na widok jakiegoś nieszczęśliwego i cierpi na tęsknotę do kraju... Ipekakuana, wywołuje skłonności do gniewu, ociężałość, rubaszność, kłótliwy i uparty charakter, poniewierający wszystkim i pragnący, żeby i inni nie mieli do niczego szacunku...

Do jakiego stopnia trudno jest wybawić ludzi z przesądu, choćby ten był najniedorzeczniejszym, i naprowadzić ich na drogę rozsądnego zapatrywania się na związek przyczyn i skutków, dowodzi tego również jasno homeopatyja. A tymczasem, jak łatwo byłoby każdemu stronnikowi rzeczonego sposobu leczenia przekonać się, o jego bezzasadności i bezskuteczności, gdyby tylko chciał sprawdzić doświadczeniem ów mniemany pewnik (*similia similibus curantur*... co znaczy: *„podobne leczą się podobnemi...“*), na którym opiera się cała homeopatyja. Według zdania homeopatów, kora chiny, używana do leczenia gorączki przepuszczającej, powinna koniecznie wywołać stan podobny do objawów tej choroby. Wrzeczywistości zaś, china nigdy nie sprowadza takiego stanu, czego dowiodło mnóstwo doświadczeń, i co każdy może sprawdzić na sobie; lecz bez względu na to, wiele jeszcze osób wierzy pomienionemu kłamstwu. Jeśli kto obawia się o swe życie, poczytując chinę za środek zbyt silny, ten może spróbować na sobie najniewinniejsze leki, uważane przez homeopatów za wyborne środki lecznicze, jak np. węgiel drzewny, grafit, złoto, platynę i t. d. Okaże się wtedy, że ani jeden z owych środków nie sprowadza tego skutku, jaki mu przypisują. Tak więc, kto ma uszy do słyszenia, niech słucha, że prawidło: *podobne leczyć należy podobnem*, czyli *klin wybijać klinem*, będące kamieniem węgielnym homeopatyi, jest pozbawione wszelkiej prawdy, jest po prostu kłamstwem! Zmiana pomyślna lub niepomyślna, wynikająca w chorobach, nie ma nic wspólnego z przyjmowanemi środkami homeopatycznemi, które, jak wiadomo, równe są zeru. *). Zmiana ta, zawsze bywa następstwem odbywających się w chorem ciele spraw przyrodzonych. Nie ulega wątpliwości, że niekiedy homeopaci, przy domowem przygotowaniu lekarstw, mieszają do nich i większe dawki alopatyczne, np. makowca, rtęci, chiny, — a wtedy, łatwo pojąć zadziwienie chorego, nie podejrzywającego podobnych podstępów lekarskich, w obec silnego działania homeopatycznych dawek i leków.

Na wzór homeopatów i większa część lekarzy alopatycznych widzi w każdym polepszeniu choroby — skutek swych lekarstw. Mniemany wielki praktyk nie zwraca najmniejszej uwagi na następujące fakty: przy leczeniu jednej i tej samej choroby, zarówno najrozmaitsze środki i metody leczenia, podobnie jak homeopatyczne *nic* i śmieszne kuglarstwa, prowadzą do jednego i tegoż celu; — w nauce medycyny, jedno i toż samo lekarstwo zalecanem bywa przeciwko wielu najróżnorodniejszym chorobom; — tenże sam środek, przez niektórych lekarzy bywa wynoszony pod niebiosa, a przez innych, przeciwnie; — na konsylijach, każden z lekarzy proponuje swój własny, ulubiony środek i stara się o postawienie na swojem.

Niech tam sobie zresztą chory bogacz traci pieniądze na bezużyteczne lekarstwa, skoro tak mu się podoba, ale po cóż zmuszać ludzi biednych do wydawania na tenże sam cel ostatniego nieraz i ciężko zapracowanego grosza, który potrzebniejszy im jest na chléb powszedni. Działalność oświeconego lekarza wtedy tylko może okazać się rzeczywiście dobroczynną, kiedy publiczność rozstanie się stanowczo ze swą wiarą w cudy lekarskie i przyjdzie do przekonania, że w ciele ludzkiem odbywa się wszystko według niewzruszonych praw, nie dających się nigdy i przy żadnych okolicznościach zniszczyć. W naszych czasach, kiedy szalbierstwo i blaga pod najrozmaitszemi postaciami uganiają się za wypróżnieniem kieszeni cierpiącej ludzkości, a wszelakie gałęzie sztuki lekarskiej rozpowszechniają się w społeczeństwie, medycyna, dla dobra ogółu, powinna koniecznie zrzec się roli wyroczni, dać się bliżej poznać i odkryć swą słabą stronę. Minęły już dawne czasy, kiedy jakakolwiek wiedza była tylko wyjątkowym przywilejem pewnej karty ludzi; pora więc i na medycynę, aby starano się nie tylko wierzyć w nią, ale i mieć o niej choć elementarne pojęcie.

Nałóg nieprawidłowego odnoszenia przyczyny do skutku, rodzi w społeczeństwie i między lekarzami szkodliwe i niedorzeczne przesądy; — nie należy więc wyprowadzać wniosków na chybił-trafił, lecz wprzódy zaznajomić się z prawami przyrodzonemi, i zastąpić tym sposobem przesądy, pozytywną wiedzą.

Lecznicze sprawy przyrody, za pomocą których, nawet bez udziału lekarza i lekarstw, przechodzi większa część chorób albo zupełnie, albo z pozostawieniem lżejszych czy cięższych następstw, można spostrzedz najlepiej przy ranach, krwotokach i zapaleniach *), w ogóle, przy cierpieniach miejscowych. Mniej jasne są jeszcze dla nas owe sprawy w tak zwanych ogólnych chorobach krwi, chociaż i tutaj doświadczenie już nauczyło, że dla zupełnego wyzdrowienia, dostatecznem jest leczenie dyjetetyczne, i że wmieszanie się, prędzej tu szkodzi, niż pomaga. *d. c. n.*

---

*) Mimo tych ostrych i słusznych zarzutów, wyznać jednak należy, że homeopatyja przyniosła pewną korzyść dla nauki lekarskiej i cierpiącej ludzkości, bo przekonała, jak wiele można osiągnąć pomyślnych rezultatów w chorobach, przez proste leczenie dyjetetyczne, bez użycia jakichkolwiek środków aptecznych. *Przyp. Red.*

*) Pomówimy o nich w następnych artykułach. *Przyp. R.*

KRAJ I JEGO CIEKAWOŚCI.

WYCIECZKA DO OPOCZNA

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

(ciąg dalszy)

Miasto kiedyś wewnątrz fortecznych murów się budowało, a jakkolwiek miejscowe podanie założenie onego Kazimierzowi W. przypisuje, wszelako pamięta ono czasy jeszcze przedłokietkowe. Być może że Kazimierz W. zamek tutejszy przebudował i murem wzmocnił, miastu też nadał przywileje. Najdawniejszy o jakim wiemy, choć tylko ze wzmianki w aktach miejskich, sięgał roku 1365 — ale zginął — i nawet treść jego niewiadoma. Mogło to być nadanie 12 placów pod zamkiem, zewnątrz murów, na których to placach król Kazimierz pozwolił żydom się budować. Szczegół ten słyszałem od mieszkańców.

Co do innych przywilejów, nie widzieliśmy ich, gdyż podobno przesłane zostały na zapotrzebowanie władzy do Radomia, aleśmy dostali do rąk spis takowych z r. 1828, który tu zamieszczamy:

1. W r. 1369 Król Kazimierz W. wydał miastu przywilej na zamianę wsi Bukowca.
2. „ 1455 Kazimierz Jagielończyk nadał przyległe bagna i pastwiska.
3. „ 1551 Zygmunt August dozwolił mieszczanom wolnego wrębu w

najbliższych lasach królewskich, oraz wolnego pasania na błotach i pastwiskach.

4. „ 1588 Zygmunt III zakazał mieszczanom, pod karą utraty majątku i wypędzenia z miasta, sprzedawać żydom swe własności.

5. „ 1714 za Augusta II zapadł wyrok królewski na Administratora Starostwa ur. Tołkacza i żydów Opoczyńskich, skazujący ich na wygnanie z miasta za jakoweś pokrzywdzenie obywateli, który to wyrok w roku 1715 był do exekucyi przyprowadzony.

6. „ 1766 Stanisław August zatwierdził wszystkie dawniejsze przywileje.

Oprócz tych, były niewątpliwie i inne, których wszakże i pamięć dziś zaginęła. Tak np. wiadomo nam z przypadkowego odkrycia nader ciekawych akt po jednem z małych miasteczek okolicznych, że w Opocznie, w pierwszej połowie w. XV znajdował się wyższy sąd Magdeburski, do którego odwoływały się okoliczne pomniejsze Magdeburgje. Ślady tego znaleśćby się powinny w tutejszych aktach miejskich, wszakże na miejscu nie mogliśmy niczego się dowiedzieć. Są to rzeczy w dzisiejszych czasach zupełnie już, zwłaszcza w Opocznie, zapomniane, a jako szczegół charakterystyczny, winienem dodać, że kiedym pytał o prawo Magdenburgskie i akta z w. XV, zaczni zkąd inąd ludzie patrzeli na mnie oczami, jakbym ich o jakieś dzieje księżycowe, lub o żelaznego wilka zapytywał. Niczego też tu, choćby niedawnej przeszłości, dowiedzieć się nie można, a jedyny szczegół, jaki udało mi się naprętce pochwycić na jednym z szpargałów, zawiera się w tym jednym wierszu: „Sławne to miasto w wojnie Szwedzkiej, bitwą r. 1655.“ Nie wątpię, że gdyby się udało komu dobrać do akt miejscowych, czy takowe znajdują się w Opocznie, czy jak mnie zapewniano, w Radomiu, dokąd wszystkie dawniejsze, wraz z przywilejami, ściągnąć miał rząd gubernialny, a akta po dawnem ziemstwie i grodzkie, sięgające podobno r. 1500 Trybunał, trudy umiejętnego ich przejrzenia sowicie by się opłaciły.

Tak zwany dzisiaj *zamek Kazimierza W.*, jest to budowla piętrowa, na sklepieniu, z bramą wjezdną, do miasta prowadzącą, która niejednokrotnym musiała uledz przekształceniom. Mieści obecnie Zarząd i biuro, wraz z mieszkaniem Naczelnika powiatu. Tak samo się ma i z budowlą w rynku stojącą, zwaną *domem Esterki.* W r. 1870 była tu jeszcze ruinka, czarna od starości, nietynkowana, składająca się z jednej sklepionej komnatki, na wierzchu której rosła drzewinka, gruba w przecięciu kilka cali. Były to podobno szczątki pierwotne domu Esterki, którego inne części przerobiono na budynek, mieszczący obecnie kassę powiatu i mieszkania. Ruinkę dla cegły rozebrano, a szkoda niemała, nietylko bowiem nie szpeciła, ale owszem, była zawsze osobliwością pamiątkową Opoczna. W r. 1828 budowlę te w następujący sposób opisano: „Pałac zwany Zamkiem, w którym niegdyś Kazimierz W. król polski czasami miał mieszkać, dziś spustoszony, resztę budowli które przy gmachu takowym ku wygodzie króla egzystować musiały, zupełnie zburzono, nawet z takowych śladu nie masz. Pałac Esterki, dziś w ręku prywatnym, także spustoszony.“

Od Zamku do Esterki — jak tu powszechnie utrzymują—znajdować się ma podziemne przejście. Powiadano mi, że w r. 1849 potwierdziło się to przypadkowo, gdy pod armatami, tędy do Węgier idącemi, zapadła się w rynku ziemia otwierająca loch, który jednak, dla porządku i bezpieczeństwa, zaraz zakryto.

Piękny kościół tutejszy, pod wezwaniem św. Bartłomieja, niewiele także zachował śladów swej starożytności. Przed laty pięćdziesięciu był on tak dalece zdezelowanym, iż groził zupełnem zawaleniem się. Następnie około r. 1850 uległ pożarowi, po którym dopiero z gruntu go wyrestaurowano, dach zniżono i inne odmiany porobiono, tak, że dziś zewnętrznie wygląda zupełnie nowo. Ale wewnątrz, presbyteryjum gotyckie, odznaczające się ładnem żebrowaniem sklepienia, pozostało nietknięte i odpowiada co do stylu w zupełności kościołom, stawianym u nas w XIII i XIV wiekach. Pierwotny kościół parafijalny znajdować się miał daleko za obrębem grodu, w miejscu gdzie dziś cmętarz grzebalny, tutaj zaś była kaplica zamkowa, którą w późniejszym dopiero czasie przybudowaniem nawy powiększono. Jakoż te dwie części kościoła różnią się zupełnie co do stylu, a płaskie i ubogie sklepienie, którem pokryto nawę po ostatniem spaleniu, zupełnie źle odbija przy owem bogatem i pięknem żebrowaniu.

Do szacownych zabytków przeszłości przy kościele tym, należy wielki dzwon, pięknego odlewu, mający półtora łokcia wysokości. Na nim umieszczony obok napisu, r. 1330, utwierdza domysły co do epoki wzniesienia tej świątyni, którą do czasu Piastów, a mianowicie podług wskazówki tej, do pierwszej połowy w. XIV odnieść należy. Jeszcze dawniejszą od dzwonu zdaje się być kropielnica kamienna, stojąca zewnątrz kościoła przy drzwiach. U wierzchu tego naczynia wyraźnym jest ślad jakiegoś napisu z liter gockich, trzycalowych, wypukło rzniętych, oraz liczb arabskich, z których dwie końcowe ósemki są wyraźne, przed niemi jest jakby dwójka, a zdawało mi się że wyczytuję cyfry 1288. Jednakże brzeg naczynia po jednej stronie jest wybity, a pozostałe litery tak wytarte, że nic wyczytać nie podobna. Niżej na paterze rzeźbione liście, a na postumencie jakoby godła herbowe w koło. Jest tu ptak niby łabędź, są jakby róże, może gwiazdy, wszystko to bardzo zniszczone i niewyraźne, ale zawsze godne uwagi, jako cenny zabytek archeologiczny.

Kilka wspaniałych nadgrobków zwraca uwagę w tym kościele. Z prawej strony wielkiego ołtarza jest w ścianie pomnik z marmuru chęcińskiego niejakiego Adryjana Śmigielskiego, dziedzica Gowarczowa, dobrodzieja kościoła, zmarłego w r. 1616. Wyobrażony jest w postaci rycerza w zbroi, leżącego na poduszce, z ręką prawą na księdze *). Z tejże strony jest pomnik z r. 1623 poświęcony pamięci Duninów Karwickich, odznaczający się piękną ornamentacyją w płaskorzeźbie. Dalej napis grobowy dla Alberta Jana Liwskiego proboszcza Opoczyńskiego, zmarłego w roku 1624. Z drugiej strony ołtarza nagrobek także z marmuru chęcińskiego, niejakiego Załuskiego, który miał za żonę córkę Adryjana Śmigielskiego. Jest on także wyobrażony w postaci rycerza, trzymającego w ręku kopiję. Jak opowiadał jeszcze ksiądz Drążkiewicz, kościół w Opocznie bardzo był kiedyś bogaty w srebro i aparata, jednak ogołocili go Austryjacy, którzy w roku 1809 zabrali ztąd monsrtancyją srebrną ważącą funtów 30, takichże lichtarzy 6, nadto z krzyża Pana Jezusa zdjęli 60 funtów srebra. Z grabieży tej ocalał jednak prawdziwie mistrzowski wyrób, który do najpiękniejszych wzorów sztuki średniowiecznej zaliczyć można. Jest to duża puszka do komunikantów, srebrna, około 20 cali wysoka, w r. 1544 przez Jana z Opoczna Wikaryjusza zamku Krakowskiego sprawiona **). Na lekkim postumencie, kula srebrna na dwie połowy roztwierająca się, i z tych każda złotym łańcuszkiem na cztery części podzielona. Wybornie grawirowane stacyje męki Chrystusa Pana zdobią te ośm pól. Wierzch kuli wieńczy kapliczka ostrołukowa prześlicznego rysunku, pod którą złota figurka Chrystusa, ukazującego bok przebity. U spodu dwa napisy:

— „Hoc. ops. est. comparatum sumptibus domini Johannis de Opoczno vicarii in arce Cracovien. Anno Domini 1544“.

— „Impensis perillris, Adm. Reveren. Thomae Kozerawski praep. et Decan. Opocznen. Canonici Lanc. Intus et Extra deauratum 1779.“

Pięknym jest także kielich srebrny, złocony, zdobny medalijonami świętych ze srebra kowanemi, żadnego jednak napisu ani daty nie mający. d. n.

*) Ród Śmigielskich długi czas przebywał w Opoczyńskiem i wchodził ze znakomitszemi domami w koligacyje. Duninowie Karwiccy z Karwic blisko Opoczna, dotąd znani.

**) W roku 1543 *Andrzej z Opoczna, medicinae doctor*, był rajcą krakowskim. Paprockiego Herby, wyd. Turowskiego, p. 898.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ
ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH
KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ LI.
Odjazd.

Świt rozpoczął walkę z księżycem oto kto ma panować na niebie, gdy w tem rozległa się trąbka i szeregowcy pozrywali się na nogi.

Bogini poranna zwyciężyła niedługo, i przy jej łagodnem świetle niebieskiem widać było tu i tam rojących się ludzi i koni, a gdy trąbka odezwała się po raz wtóry, zaczęto ustawiać się na placu szykując do drogi.

Na środku stał furgon ze swoją chorągwią białą.

Bagaże i słabi byli już także wygodnie pomieszczeni na wozach.

Trębacz na czele czekał rozkazu by dać znak do wymarszu.

W tej chwili wszedłem na taras. Bóg wie a może po raz już ostatni. Oczy błądziły po placu chociaż nie zwracałem bardzo uwagi na to co się na nim działo. Obserwowałem głównie wydatniejsze tylko sceny tego ożywione-obrazu. Konie rżały, ludzie poprawiali ubrania, ładowali pakunki i znosili walizy. Jedni siedzieli już na siodłach, inni stali przy koniach, inni wreszcie zbici w gromadkę przed oberżą pili strzemiennego ze znajomymi lub przyjaciołmi, których Bóg wie na jak długo żegnali.

Nie samych jednak tylko przyjaciół zostawiamy po sobie...

Z okien i drzwi uchylonych toć i tam wyglądają twarze na których cale inne przebijają się uczucia. Od czasu do czasu zachmurzony *lepezon* ciągnie w swoim klasycznym płaszczu a przystanąwszy na rogu ulicy rzuca dzikie ku nam spojrzenia z pod szerokiego kapelusza. Ludzi z tej klasy nie wiele pozostało w wiosce, prawdopodobnie wyszli aby się złączyć z gerylasami, i ta jednak garstka jaka pozostało dostateczną jest do zachmurzenia obrazu.

Rzuciwszy raz jeszcze przelotne do koła spojrzenie, spostrzegłem że na twarzach młodych kobiet wyraźnie bojaźń jakąś czytać było można.

Być zresztą może że istotnie zdawało mi się to tylko, — a łatwo odgadnąć dla czego.

Przez całą noc umysł mój trapiła jedna myśl bolesna, trapiło mnie przeczucie niebezpieczeństwa jakie groziło tej którą kochałem nad życie. Przez całą noc układałem plany jakby odwrócić grożące jej niebezpieczeństwo, ale nic nie byłem wstanie wymyślić.

Prawda że niebezpieczeństwo było przypuszczalne, tylko że go określić nie było podobna, ale to właśnie nie pozwalało zapobiedz mu należycie. Gdybym znał go jasno, snadniej by mi było użyć nań tego lub innego sposobu, ale z przypuszczeniami skutecznej walki prowadzić nie można.

Nic bodaj nie dręczy bardziej, jak poczucie bezsilności a ja otóż bezsilnym byłem w tej sprawie. Przeciwnie szeptało mi że wielkie niebezpieczeństwo grozi Isolinie ze strony Rafaela Iżurry, ale jakie i w jakiej formie tego odgadnąć nie mogłem. Rozruchy trapiące kraj coraz bardziej, zwiększały też obawy moje.

Od kilku już lat niezgoda szarpała pograniczne prowincyje. Rewolucyjom i napadom Indyjan końca nie było.

W czasie tego to wyjątkowego stanu wyrósł i prześlicznie się rozwinął ten piękny żywy kwiatek — za który dałbym życie w ofierze.

Isolina de Vargas była odważną, ale co poradzić mogła w obec wypadków jakie się gotowały.

Oprócz światła jakie Iżurra rzucił sam na swoje plany i swoje zamiary dowiedziałem się innych jeszcze o nim szczegółów.

Holingsworth dał mi dokładnie poznać tego strasznego wyrzutka. Po naturze tak upadłej i spodlonej można się było wszystkiego najgorszego spodziewać.

Mogłem zrzec się swojego stopnia i pozostać na miejscu, ale środek ten nie na wieleby się przydał. Niezdolny do zabezpieczenia siebie samego, tym mniej mógłbym być pożytecznym dla innych.

Skoro tylko oddalą się szeregowcy, życie moje nie byłoby pewne jednej godziny.

Przyszło mi na myśl aby zobaczyć się jeszcze z Isoliną a nawet z jej ojcem i skłonić do opuszczenia kraju. Toć mogą się udać do Saint-Antonio lub do Bosar i żyć tam spokojnie aż do skończenia się wojny.

Wyrzucałem sobie nawet że ten dobry pomysł wcześniej nie przyszedł do głowy. Ale czy zgodzi się na to don Ramon de Vargas?... Wiedziałem iż znał on stosunek jaki łączył mnie z jego córką, wiedziałem że nie czynił żadnych przeszkód w rozwinięciu się tej skłonności, jakże go jednak przekonać o potrzebie tak nagłego wyjazdu?.. Jakże go przekonać o grożącem mu niebezpieczeństwie?..

Zresztą inna jeszcze mogła się wyrodzić trudność. Czy szlachetna duma Isoliny zgodzi się naprzykład na zatwierdzenie propozycyi mojej.

Obawiałem się o to bardzo, obawiałem się czy przystanie na to aby porzucić gniazdo rodzinne dla tak nikczemnej jak jego kuzyn istoty. Ona nie bała go się wcale i prawdopodobnie nie wierzyła aby zdanie takiego nędznika mogło cośkolwiek i kiedykolwiek na szali losów jej zaważyć.

Więc z tego punktu na rzeczy patrząc rady moje mogą być źle nawet przyjęte.

A przytem i czas nie był już bardzo stosownym. Ze wschodem słońca trzeba było wyruszyć w pochód, bo takie były rozkazy a tu już dzień zaczął świtać. Nie to jednak stawało mi na zawadzie. Tę przeszkodę mogłem łatwo usunąć, boć mogłem dogonić oddziału, ale delikatną było rzeczą budzić o takiej niewłaściwej porze szlachecką rodzinę, choćby nawet w tym celu iżby ją ostrzedz o potrzebie baczności. Ale jeżeli moja rada okaże się nie pożądaną, wizyta przyśpieszy tylko niebezpieczeństwo o które tak się obawiałem.

Nie wiedziałem co począć, a oddział tymczasem gotował się do drogi.

Dowcipny Holingsworth podał mi myśl żeby list napisać. W liście łatwiej będzie przedstawić wszystkie argumenty, jakie będę uważał za potrzebne, aby dobry osiągnąć skutek.

Poszedłem za radą towarzysza broni i co duchu chociaż z całym zapałem podnieconym obawą zabrałem się do pisania.

Znaleźliśmy pomiędzy *ayankejados* człowieka który podjął się pośrednictwa — więc interes udał się wybornie.

To też lżej trochę zrobiło mi się na sercu, gdy przyszło wydać stanowczy rozkaz do wyjazdu.

Odezwała się trąbka, a kiedym wskoczył na siodło, muzyka i gorączkowe poruszenia Mora wróciły mi spokój umysłu.

ROZDZIAŁ LII.

Gawędy obozowe.

Ale spokój ten to błyskawica tylko przelotna i wkrótce ciężki opanował mnie smutek.

Naprożno starałem się uspokoić — straszny ciężar przygniatał mi piersi, napróżno „*brałem na rozum*" bo mnie nieopisane trawiły obawy.

Rzeczą było dosyć naturalną, iż rozłączenie się nasze musiało wpływ pewien wywrzeć — iż okoliczności w pośród których rozstawaliśmy się nie koniecznie ponętne kreśliły obrazy przyszłości.

Losy moje miały się rozegrać na niepewnej wojennej loteryi, mogłem zginąć na polu bitwy, mogłem się stać ofiarą jakiej zarazy, o którą łatwo w obozach, mogłem zresztą stać się łupem, Bóg wie jakiego pierwszego lepszego niebezpieczeństwa. Przyszłość zatem przedstawiła się i smutna i bardzo niepewnie.

Ale nie ta niekoniecznie przyjemna perspektywa napełniała serce moje niepokojem tak strasznym. Przypuszczałem że wyjdę cało — byłem tego prawie jakoś pewnym, nic to jednak nie oddziaływało na mnie, bo niebezpieczeństwo Isolinie grożące — zwalało mnie z nóg zupełnie.

Wątpiłem czy się kiedykolwiek zobaczymy znowu... To straszne przeczucie stawało się coraz dotkliwszem tak iż chciałem cofnąć się i powracać galopem, to znowu opuszczały mnie smutne myśli i machinalnie jechałem naprzód.

Zresztą niepodobna mi już było powracać samemu do wioski.

Ruszając z placu słyszeliśmy głosy szydzące z nas z daleka, słyszeliśmy okrzyki: „Śmierć Tekseńczykom!" i z wielką trudnością przyszło mi powstrzymać swoich żołnierzy od krwawego odwetu.

W czasie drogi gerylasy dali nam także pewne znaki życia, strzelano do nas z sąsiedniego pagórka — oddział jednak który wysłałem, nie spotkał nikogo tylko świeże ślady kopyt końskich i dwu ludzi w całym pędzie uciekających w krzaki.

Przypuszczaliśmy że to panowie z bandy Iżurry, sądząc jednak że Canales nie musi być daleko, a spotkanie z jego dosyć znacznemi i dobrze zorganizowanemi siłami byłoby zupełnie inną znowu rzeczą, nie szukaliśmy zaczepki i pojechali dalej.

Nadzieja bójki z partyzantami podniecała zapał w szeregach.

Ująć Canalesa, tego lisa lasów jak go nazywano pospolicie — albo przynajmniej pobić jego bandę — byłoby to samo prawie co wygrać bitwę regularną albo zabrać samego Santa-Annę.

Przyznam się że i dla mnie myśl zmierzenia się z tym gerylasem sławnym, miała dosyć w tej chwili uroku, i podniecony nadzieją spotkania rozerwałem na jakiś czas mój skołatany umysł.

Dojechaliśmy jednak do miasta a lisa lasów jak niema tak niema. Widocznie nie znajduje się na naszej drodze, lub nie chce się nam pokazać.

Canales nie bił się jedynie dla chwały a szeregowcy nie byli nieprzyjaciołmi o których by mu chodziło. Furgony dobrze naładowane o to cel marzeń jego, a nasz jedyny wóz ordynansowy napełniony przyrządami kuchennemi, choremi żołnierzami i podartemi kołdrami, nie mógł mieć najmniejszego dlań powabu.

Przybywszy do miasta zobaczyliśmy zdziwieni że dywizyja nie poruszyła się jeszcze, chociaż miała wyjść w drogę tego samego poranku, otrzymano bowiem nowy rozkaz z kwatery głównej zawieszający wymarsz na jaki tydzień lub dłużej.

Cenna to była dla mnie nowina i zaledwie ją usłyszałem, w głowie mojej tysiące najrozkoszniejszych obudziło się projektów. Spodziewałem się że i nas cofną na miejsce ale się przekonałem że polecono połączyć się nam i pozostać z dywizyją.

Ponieważ wszystkie budynki mieszkalne zajęte już były przez wojska, postąpiono sobie z nami jak zwykle, t. j. jako „*nieregularnym*“ wyznaczono nam obóz pod gołem niebem, o pół mili po za miastem.

Rozłożyliśmy się tedy nad brzegiem małego strumyka, poprzywiązywali konie, rozbili namioty i obmyli się z kurzu.

Co do mnie nie zagrzałem długo na miejscu, bo zaledwie skończono konieczne roboty, oddaliłem się pieszo ku miastu—w części aby chwytnąć dokładniejszego języka o przyszłych poruszeniach armii, w części aby wypocząć gdzieś w samotności.

Miałem kolegów w różnych pułkach dywizyj i po tak długiej rozłące przyjemnie mi było spotkać się znowu z pierwszemi towarzyszami broni.

Dowiedziałem się w kwaterze głównej że zostaniemy tak jak jesteśmy najmniej z parę tygodni.

To ślicznie, pomyślałem i raźniejszy na duszy i ciele pociągnąłem ku oberży w której zgromadzali się wszyscy oficerowie armii. Znalazłem też tych których szukałem i do reszty rozerwałem trapiące mnie smutne myśli.

Z gawęd krążących po obozie, dowiedziałem się o bohaterach chwili obecnej, a z wielu nazwisk jakie posłyszałem i ja i moi towarzysze uśmieliśmy się serdecznie.

Objaśnienia o stosunkach wojskowych z mieszkańcami miasta pocieszyły mnie nieco. Wielu z tych ostatnich było prawdziwymi naszymi przyjaciołmi w skutku dobrego i taktownego obchodzenia się z niemi.

Nie myślę aby w ogóle w historyjach wojen, dało się znaleść zawojowanie nacechowane takiem umiarkowaniem i łagodnością jak powtórne podbicie Meksyku.

Jeden z naszych oficerów pokochał się też na śmierć w bogatej senoricie i ślub odbył się z wielkim przepychem, drugi miał już narzeczoną a spodziewano się słusznie, że dobry przykład znajdzie wielu naśladowców.

Niepotrzebuję dodawać że mnie te wszystkie nowiny obchodziły bardzo żywo i że wcale kontent ze siebie powracałem do obozu.

ROZDZIAŁ LIII.

Chata zburzona.

Przyjemne uczucie spotkania się z dawnemi przyjaciołmi minęło wkrótce i gdy nie pozostało mi nic więcej do roboty jak tylko włóczyć się do koła obozu, popadłem znowu w ponure myśli i pozbyć się ich nie mogłem.

Wyciągnięty na obozowem łóżku nie mogłem usnąć żadną miarą, ale przyszedł mi znów do głowy projekt, a nadzieja wykonania onego ulżyła mi troszeczkę.

Postanowiłem sobie mianowicie puścić się z dwudziestu najlepszemi żołnierzami tą samą drogą którąśmy tu przybyli, otoczyć hacyjendę, wejść do niej i skłonić do usłuchania rad jakie piśmiennie podałem.

Jeżeli się pokaże że już z nich skorzystano, tem lepiej. Uspokoję się i powrócę zadowolniony, chociaż byłem prawie pewnym że don Ramon nie zgodzi się na to.

Co to szkodzi jednakże przekonać się o tem, tym bardziej że bądź co bądź uda mi się może przynajmniej zobaczyć raz jeszcze swoję ukochaną.

Uprzedziłem ludzi i naznaczyłem godzinę odjazdu jak tylko tak się ściemni że nie będą nas widzieli z obozu.

Dwa miałem ku taktyce tej powody, najprzód niechciałem aby wiedziano w kwaterze głównej o wyprawie zrobionej na własny mój rachunek, chociaż nam jako nieregularnym, pomimo że należeliśmy do dywizyi wolno było zrobić coś czasem na swoję własną rękę, a powtóre było to prostym środkiem ostrożności. Nie śmiałem zabierać całego oddziału bez zezwolenia kwatery głównej. Spostrzeżono by to niezawodnie lubo oddalenie trwać miało tylko kilka godzin. Jeżeli pójdziemy, drogą zanim będzie zupełnie pustą — pierwszy lepszy włóczęga poniesie przed nami tę wiadomość i narobi nam ambarasu.

Postanowiłem się więc poruszyć jak skoro noc zapadnie żeby nie alarmować hacyjendy wizytą o tak niezwykłej godzinie.

Gdy dobry zmrok zapadał skoczyliśmy na siodła i pocichutku znaleźliśmy się w lesie otaczającym obóz. Przejechawszy gęsiego wąską drużynkę wyjechaliśmy na gościniec po nad wodą, prowadzący do wioski.

Rube i Garej szli pieszo naprzód jako przewodnicy zostawiwszy konie w oddziale.

Z głęboką wiarą w ich takt lub spryt posuwaliśmy się, tak się miarkując żeby ich nie wyprzedzić.

Od czasu do czasu spostrzegaliśmy jak pochyleni rozpoznawali przed sobą drogę, — bo księżyc przyświecał jasno, co rzekłszy prawdę nie było nam bardzo na rękę.

Droga którąśmy przebywali prawie pustą była zupełnie, najczęściej prowadziła lasem; nigdzie żadnych zabudowań nie było, na pół drogi tylko pomiędzy miastem któreśmy opuścili i wioską ku którejśmy zdążali, stała opuszczona chata, znana nam pod nazwiskiem „punkt środkowy.“

Było to domostwo bied..e, otoczone kawałkiem ziemi na której kiedyś rosła kukurydza, właściciele małej zagrody zniknęli od dawna bo maruderzy za zbyt często oddawali im wizyty. Domowe bogi walały się poniszczone na ziemi razem z obrazkami świętych malowanemi na drzewie i pozrucanemi ze ścian, a kartki powydzierane ze starej hiszpańskiej książki do nabożeństwa, poniewierały się zdeptane nogami.

Ten obraz ruiny i rabunku, nie odnosił się bynajmniej do wypadków jakie opowiadam, zaznaczyłem go jednakże bo dziwnie mnie on uderzył.

Wczoraj kiedyśmy przejeżdżali tędy, zatrzymałem się chwilę i z prawdziwym smutkiem patrzyłem na ruinę, nie przeczuwając że dziś w tem samem miejscu smutniejszy jeszcze czeka mnie widok.

Gdyśmy się na jakie pół mili do tej chałupy zbliżyli, posłyszeliśmy szmer pomieszanych ludzkich głosów — dochodzący nas z wiatrem od czasu do czasu. Głosy silniejsze męskie przeważały, ale można było rozróżniać łagodne i słodkie dźwięki kobiece.

Przystanęliśmy wszyscy aby się lepiej przysłuchać.

Szmer niewyraźny nie ustawał, ale ani to były śpiewy, ani głosy radości, przeciwnie skargi i narzekania.

To jakieś nieszczęśliwe kobiety, zauważył jeden z ludzi.

Zaciekawiło to nas niezmiernie i puściliśmy się wszyscy razem w tę stronę. Nie zrobiliśmy bodaj dziesięciu kroków gdy człowiek jakiś w tym samym kierunku zbliżał się prędko ku środkowi drogi.

Poznaliśmy Gareja i zaczekaliśmy na niego. Stojąc na froncie oddziału rysy Gareja mogłem łatwo rozpoznać przy świetle księżyca i domyśliłem się że ma mi oznajmić nie dobre nowiny.

Nie mówił nic, zbliżył się tylko powoli, oparł rękę na moim siodle i szepnął mi z cicha:

— Złe nowiny kapitanie.

— Cóż się stało, mów, na miłość Boską mów mi Gareju!

— Dyjabli wiedzą co porobili w wiosce. Te szelmy postąpili gorzej jak Indyjanie, a zresztą przypatrz się sam kapitanie. Kobiety są tu nie daleko w tej oto chacie, a Rube tam siedzi i uspakaja te biedne stworzenia.

— Oh! to okropne przeczucie!

Nie odpowiedziawszy nic na ostatnie słowa Gareja, rzuciłem się naprzód jak szalony, a po dwu minutach byłem przy chacie i spostrzegłem obraz od którego krew ścięła mi się w żyłach. *d. c. n.*

ŚLADY ŻYCIA.

XX.

Tyle życia, ile... w czynie.

Z szeregu zapowiedzianych *w Piotrkowie odczytów* na korzyść Osad rolnych i Przytułków rzemieślniczych, pierwszy miał miejsce w dniu 2 b. m. Było to powtórzenie, przez p. Bronisława Mayzel, publicznej jego prelekcyi: O zapewnieniu bytu rodzinie za pomocą ubezpieczenia na życie. Czysty dochód z powyższego źródła otrzymany, wynosi rubli 48.

Następny odczyt P. Sztukowskiego z Warszawy miał nastąpić w dniu 16 b. m.

Dowiadujemy się, że p. Ernest Świeżawski, pracując już od paru lat nad dziejami krajowemi, w ostatnich czasach odszukał w biblijotece ordynacyi imienia Krasińskich, kilka dokumentów uzupełniających życiorys arcybiskupa kijowskiego, Felicyjana Wołodkowicza, przez co artykuł J. Bartoszewicza w Encyklopedyi Olgerbrandów większej, o tym arcybiskupie może być zaokrąglony i sprostowany zwłaszcza w ostatnim ustępie. P. Świeżawski prócz tego, znalazł w jednej z książek prawnych wsuniętą broszurkę nieliczbowaną (w 16) p. t. „Organy czyli odpowiedź na list przyjaciela z Warszawy.” Jestto satyra Krasickiego na sejm czteroletni napisana, którą Bartoszewicz w swych „Znakomitych mężach” za rękopis niewydrukowany dotąd uznawał, nie będąc przez traf tak pomyślnie kierowanym, jak wspomniony wychowaniec b. Szkoły Głównej. Bezwątpienia tak właściciel biblijoteki, jak jej uczynny i chętnie wszystkim ułatwiający poszukiwań bezpośredni opiekun, pan Władysław Chomętowski, pozwolą panu Świeżawskiemu ogłosić drukiem znaleziony materyjał. Pan Świeżawski jak słyszeliśmy także i o tem, przygotowuje o Krasickim studyjum społeczno-literackie.

W Banku Polskim corocznie na publicznem posiedzeniu odczytywane bywa, a następnie drukiem ogłaszane, sprawozdanie z czynności bankowych za rok ubiegły. Przy rozwijającym się stopniowo u nas przemyśle i handlu, pomoc jaką instytucyja ta udziela przez wspieranie przemysłowców kredytem, a nadto pożyczki dawane już to na złożone papiery publiczne, już też na wexle handlującym, nabiera coraz szerszego znaczenia, jak o tem wymownie świadczą zanoszone do Ministeryjum Skarbu żądania z różnych stron kraju, o otwarcie nowych filij czyli oddziałów Banku.

W ciągu kilku lat ostatnich oprócz dwu dawniejszych (w Łodzi i Włocławku) przybyło 5 nowych oddziałów a mianowicie: w Kaliszu, Płocku, Częstochowie, Lublinie i Radomiu, wkrótce zaś otworzone zostaną 2 jeszcze to jest: w Jędrzejowie i Łomży.

Sprawozdanie z obrotów w Banku i jego 7 oddziałów za r. 1874, daje zarazem wskazówkę co do większych lub mniejszych potrzeb i obrotów handlowych w różnych miejscowościach kraju. Pożyczki udzielane na procent umiarkowany oddziałały znacznie na zmniejszenie i uwolnienie od lichwy, jakkolwiek wielu jeszcze szczególniej ziemian naszych, woli płacić większy procent, nie mogąc przywyknąć do terminowego uiszczenia się z długu.

Sądzimy że interesować będą czytelników cyfry ważniejsze w interesach większość naszę obchodzących.

Do 1 (13) Stycz. 1874, znajdowało się w banku biletami kred. i monetą 1,274,050 k. 81
w r. 1874 przybyło . . 96,115,573—90
97,389,624—72

W roku przeszłym stan czynny (activa) B-ku wynosił . . . . . Rs. 31,231,145 k. $96\frac{1}{4}$
Stan bierny (wraz z kapitałem zakładowym) rs. 8,000,000) . „ 30,313,628—$71\frac{1}{4}$

Czystego zysku w r. 1874 było . . . . Rs. 917,517 k. 15

Dyskonta wexli krajowych wyniosła w r. 1874.

w Warszawie	Rs.	21,048,264 k. „
w Łodzi . .	„	2,768,990—$69\frac{1}{2}$
w Włocławku	„	2,099,003—$93\frac{1}{2}$
w Lublinie .	„	1,313,039—$61\frac{1}{2}$
w Kaliszu. .	„	1,610,548—$81\frac{1}{2}$
w Płocku . .	„	1,755,538—05
w Częstochowie	„	1,352,928—95
w Radomiu .	„	484,914—16
Razem na	Rs.	32,433,228 k. 22

21,048,264— „
A że w r. 1873 zdyskontowano w Warszawie na r. 18,129,311—80

Zatem w r. 1874 z dyskowantowano więcej o rs. 2,918,952—20

Wexli na miasta w Cesarstwie spłacono za rs. 1,240,097—15

Wexli zagranicznych spłacono na summę rs. 3,578,998—$51\frac{1}{2}$

W oddziałach Banku więcej niż w r. 1873 na 3,479,586—54

Bank udziela obecnie pożyczki:

1) na zastawy papierów publicznych, akcyj i obligacyj dróg żelaznych; 2) wyrobów wiejskich i rękodzielniczych (wełna, cukier, mączka cukrowa i t. p.); 3) na narzędzia rolnicze; 4) na kupno bydła roboczego, 5) na zastawione majątki ziemskie.

ad 2) W Warszawie udzielono pożyczek 623 osobom . . . . na rs. 790,177 kop. 54.
w Łodzi udzielono pożyczek 499 osobom . . na rs. 308,227 „ 65.

ad 3) Nowe pożyczki wraz z procentami wyniosły . . . . . rs. 98,332 „ —
w roku zaś 1873 udzielono na rs. 92,788 „ 85.
Zatem w r. 1874 udzielono więcej o . . . . . rs. 5,543 „ 15.

ad 4) Na kupno bydła udzielono pożyczki na rs. 461 kop. 24.
w ciągu 1874 r. wniesiono rs. 461 „ 24.

ad 5) Na r. 1872 pozostało pożyczek na 66 majątków . . . . . rs. 215,248 k. $71\frac{3}{4}$.

Co do rachunków bieżących to udzielono kredyt na zastaw papierów i akcyj domom handlowym i osobom prywatnym w Warszawie . . . . na rs. 6,763,727 kop. 60.
czyli więcej aniżeli w r. 1873 . . . . o rs. 2,017,547 „ $76\frac{1}{2}$
w Łodzi udzielono kredyt wraz z procentami na rs. 650,774 „ 50.

we Włocławku . .	„	465,804	„	44.
w Lublinie . . .	„	439,137	„	36.
w Kaliszu	„	811,806	„	75.
w Płocku	„	694,300	„	$66\frac{1}{2}$.
w Częstochowie . .	„	476,157	„	61.
w Radomiu . . .	„	211,401	„	31.

Z rachunków bieżących z domami handlowemi i bankami prywatnemi w Cesarstwie Bank przeprowadził na summę rs. 3,999,662 kop. —
w ciągu tegoż roku 1874 asygnował na summę rs. 4,594,085 „ $77\frac{1}{2}$.
Na domy handlowe zagraniczne przeprowadził na sumę rs. 4,278,298 k. $45\frac{1}{2}$
w ciągu roku asygnowano rs. 4,025,208 k. 86.

Do aktywów Banku P. zaliczono także nieruchomości będące własnością Banku:

Nieruchomości na ulicach: Elektoralnej i Rymarskiej wartości rs. 167,436 kop. $42\frac{1}{2}$.
Magazyn do składów na ulicy Nowogrodzkiej wartości rubli sreb. 120,357 kop. 29.
Nieruchomość dla Oddziału we Włocławku wartość rs. 2,889 kop. $29\frac{1}{2}$
Nieruchomość dla Oddziału w Łodzi wartość rs. 37,644 kop. 30.
Nieruchomość dla Oddziału w Lublinie wartość rs. 6,539 kop. 69.
Razem na rs. 334,867 kop. —

W pasiwach zwracamy uwagę na rozd. II-gi o biletach kredytowych Banku Polskiego, których na początku r. 1874 było w obrocie na rs. 557,465
W ciągu 1874 r. wycofano z obiegu przez wymianę w kasie Banku na rs. 140,384
Pozostało jeszcze na r. 1875 rs. 417,081 które na mocy rozporządzenia Ministra Finansów z d. 20 czerwca v. s. 1873 r. do dnia 1 (13) lipca 1875 r. ostatecznie będą wymieniane.

Od r. 1864 Bank na mocy ukazu z 2 Marca t. r. wydaje listy likwidacyjne i wypłaca gotowizną wynagrodzenia podług tabel likwidacyjnych, a nadto umorzenia tychże listów za pośrednictwem losowania: 4 Marca i 1 Września corocznie.

Do r. 1874 było kapitału w listach likwidacyjnych rs. 3,862,468 k. 66.
Za listy i kupony od nich zapłacono w ciąr. 1874 rs. 3,406,741 k. 32.
Pozostało na r. 1875 listów likwidacyjnych do spłacenia na rs. 455,727 k. 34.

Praca umysłowa, wymagająca siedzenia, a trwająca dłużej niż 6 godzin na dzień, musi oddziaływać szkodliwie na zdrowie. Piękny przykład uszanowania tego higienicznego prawa przedstawiają biura i instytucyje rządowe, w których urzędnicy nie pracują dłużej jak godzin 6, od 9 rano do 3 po południu. Lecz znaczna część instytucyj prywatnych, równie jak i prywatni przedsiębiorcy i przemysłowcy, nie uważają wcale powyższej normy za właściwą i obowiązującą, regulaminem swym bowiem skłaniają zatrudnionych przez siebie urzędników do 7, 8 a nawet i 9 godzin pracy na dzień. Powodem tych nadmiernych wymagań nie są żadne względy szlachetne, lecz jedynie osobisty interes przedsiębiorców; chcąc jak najmniejszą liczbą opłacanych przez siebie ludzi, doprowadzić do skutku pewne terminowe zobowiązania, zmuszają oni pracowników swoich do ślęczenia przy biurkach, nawet podczas godzin wieczornych. Szczególniej opłakanym jest stan rysowników, pracujących w fabrykach machin w czasie miesięcy zimowych; ci bowiem po pracy dziennej obowiązani są jeszcze psuć sobie oczy nad rysunkami przy lampach; to też nic dziwnego, że młodzi nawet ludzie, po kilku latach takich zajęć, znacznie zapadają na wzroku.

Zapewne, że zadaniem prywatnego przemysłowca jest staranie się o własny dobrobyt i o własne zyski, ale ten dobrobyt i te zyski, nie powinny nigdy stawać do walki ze względami humanitarnemi; nie powinny nigdy ściągać uciążliwego haraczu z normalnego stanu zdrowia pracowników biurowych.

Człowiek bogaty czyni dla społeczeństwa istotne dobrodziejstwo, gdy daje u siebie możność zarobkowania ludziom uzdatnionym; lecz to dobrodziejstwo jeżeli nie znika zupełnie, to w każdym razie znakomicie maleje wtedy, gdy przedsiębiorca skłania swych pomocników do 8 lub 10 godzin pracy codziennej, wywierającej wpływ szkodliwy na ich zdrowie, usposabiającej ich do licznych chorób, dotkliwych dla nich samych a odziedziczanych przez dzieci; słowem, do pracy dostarczającej społeczeństwu znaczną liczbę jednostek słabowitych i cierpiących. Żaden pośpiech wykończenia, żaden wzgląd na osobiste zyski, nawet podwyższenie zapłaty urzędnikom, nie może uniewinnić przedsiębiorców i instytucyj prywatnych ze stawionego przezemnie zarzutu; gdyż bogactwa kilkudziesięciu lub kilkuset osób, nie równoważą cierpień mas całych, gdyż zdrowia nie nabywa się za pieniądze!

Podział pracy, z wyjątkiem dziedziny artyzmu, daje się zastosować do każdej czynności ludzkiej. Nie ma takiego biurowego zajęcia, wykonywanego przez pewnego człowieka, któregoby dalej prowadzić nie mógł inny człowiek, również uzdolniony. Jeżeli więc prywatny przedsiębiorca przejąwszy się całą prawdą zdania „czas to pieniądze,“ przyjmuje zamówienia z nader krótkim terminem, to niechże opłaca dostateczną liczbę urzędników z których by połowa pracowała przez 6 godzin w dzień, a druga połowa przez 6 godzin wieczorem. Podobne urządzenie przedstawiają np. biura telegraficzne, gdzie czynności nieustające nie zmuszają jednak telegrafistów do ponoszenia uszczerbku na zdrowiu, gdzie rozsądne rozłożenie dyżurów czyni zadosyć wymaganiom wszystkich.

Każdy zbytek wywołuje szkodliwą reakcyję; natura mści się za pogwałcenie jej praw, i urzędnik zbyt długo ślęczący przy biurku, gdy jego władza uwagi już zostanie znużoną, mimowoli robi błędy, lub też udaje, że pracuje a w istocie myślą buja gdzieindziej; wreszcie zniechęca się do czynności, którą wykonywa, dla instytucyi, której służy i której przy zdarzonej okazyi nie zaniedbuje wystawiać w barwach niezbyt jasnych; robi się z niego płatny najemnik, którego nie ożywia chęć szczera. Wszakże wiadomo każdemu ile warta praca człowieka, zniechęconego do pewnej czynności.

Może *te względy*, jako odnoszące się do własnego interesu i opinii PP. Przedsiębiorców i Przemysłowców, zdołają do nich przemówić najzrozumialszym dla nich językiem, i wpłynąć na zmiejszenie liczby godzin prac codziennych, obowiązującej dotąd w ich biurach.

W Nr. 17 Pisma Waszego w artykule „*kłamstwo małych dzieci*“ autor powiada że w razie kiedy dziecko zada pytanie, na które wprost odpowiedzieć szczerą prawdę niemożna—trzeba odpowiedzieć w ten sposób, „dziś nie zrozumiesz tego kochanku — jak przyjdzie na to pora wytłomaczymy ci to chętnie.“

Zdaniem mojem jest to wielki błąd pedagogiczny i dla tego niech mi wolno będzie w tej kwestyi słów kilka powiedzieć. W razie takim trzeba zwrócić uwagę najprzód na to czy dziecko zadało pytanie podobne tak sobie, niechcący, przez gadatliwość, czy też rzeczywiście w chęci dowiedzenia się prawdy, przez ciekawość? W pierwszym razie można nic nie odpowiedzieć lub nie odpowiedzieć wprost, zwrócić uwagę dziecka na inny przedmiot; jeżeli zaś dziecko powtórzy toż samo pytanie (będzie więc to już drugi wypadek) — w takim razie odpowiedź dać trzeba *koniecznie* i odpowiedź *trafną*, a za taką wcale nie można, jak mi się zdaje, uważać podawanej we wspomnianym artykule. Dziecko bowiem odebrawszy taką odpowiedź, jeżeli zwłaszcza jest dosyć stosunkowo rozwinięte a więc i ciekawe — bardziej jeszcze się zaciekawi, będzie starało się domyślać, przysłuchiwać się rozmowie starszych gdy o czemś podobnem mówią, będzie się pytało innych dzieci (kolegów np.) lub — służących. A jaką ci dadzą odpowiedź?... na 10 odpowiedzi jedna będzie nic nieobjaśniająca, a 9 mniej lub więcej — gorszących. Jaką więc będzie odpowiedź trafna? Ta która będzie najwięcej do prawdy *zbliżona* (jeżeli już nie może być prawdziwą) i zarazem nie rozpali wyobraźni—nie wzburzy zmysłów.

Najlepiej jednak będzie o ile można najstaranniej (jak radzi Esquiros) najprzód odwracać uwagę, powtóre usuwać od dziecka bodźce zewnętrzne, które mogą pobudzać jego wyobraźnię a tem samem unikać wywołania niektórych drażliwych pytań.

Jeszcze kilka słów: w artykule „kłamstwo małych dzieci“ powiedziano jest o przyczynach kłamstwa u dzieci a więc i o tem jak uniknąć włożenia dzieci do tego nałogu, lecz nie ma nic powiedzianego jak oduczyć dzieci które już umieją kłamać? Otóż oduczyć najłatwiej a może i jedynie — wierzyć dzieciom. Trzeba że tak powiem wbijać je w ambicyję, trzeba okazywać że my nie przypuszczamy nawet ażeby one mogły kłamać, nie trzeba pozwalać przysięgać się, zaklinać lub dawać słowo honoru.

Trzeba starać się o niedawanie sposobności dziecku do kłamania. Jeżeli dziecko skłamie i jesteśmy przekonani o tem, trzeba starać się żeby nic na tem *nie skorzystało*, a to samo że skłamało myśl że zdradziło jakie zaufanie w niem miałeś — jeżeli tylko dziecko nie jest zbyt zepsute—będzie dostateczną karą dla niego.

Z. A. Sza.

ROZMAITOŚCI.

Jedno z pism francuzkich opisuje wypadek, który, jako przestrogę dla ojców i matek podajemy. Często w igraszkach z dziećmi zdarza nam się widzieć pewien rodzaj huśtania, polegający na kolejnem podnoszeniu i opuszczaniu malca. Podnoszący trzymając wtedy dziecko za głowę w ten sposób, że obie dłonie przykrywają uszy podnoszonego, nie wie, na jakie go naraża niebezpieczeństwo. Wspomnione pismo głosi, że właśnie podczas takiej zabawki, ojciec zerwał kręgi w szyi dwuletniego swego synka.

* * *

Podróż balonem. Sekretarz francuskiego towarzystwa żeglugi napowietrznej p. Gureau de Villeneuve, zakomunikował *Ajencyi Havas'a* następujący list, otrzymany przez prezesa tego towarzystwa, od p. Gastona Tissandier: „Siron (w departamencie Indre) 16-go kwietnia. Szan. Panie! Z telegramu wyprawionego drogą urzędową, powziąłeś już pan wiadomość o strasznem nieszczęściu jakie nas dotknęło. Sivela i Croce Spinelli już nie ma. Ulegli zaduszeniu w tych wysokich warstwach powietrza do jakich wznieśliśmy się. Opiszę panu wszystko, co wiem o tym dramacie, chociaż przez dwie godziny zrzędu byłem zupełnie bez przytomności. Balon pomyślnie wzniósł się z fabryki gazu w La-Villette; o godzinie pierwszej po południu znajdowaliśmy się już na wysokości około 5,000 metrów (ciśnienie 400 milimetrów). Przepuściliśmy powietrze przez rurkę z potażem, pomacali jeden drugiemu puls i zmierzyli wewnętrzną temperaturę balonu, która przechodziła 20°, gdy tymczasem zewnątrz wynosiła niżej o 5°. Sivel przymocował łódkę; a Croce zajął się swym spektroskopem. Usposobienie nasze było zupełnie wesołe. Sivel, wyrzuca ballast; wkrótce potem podnosimy się oddychając tlenem, który wywiera działanie wyborne. O dwadzieścia minut na drugą barometr pokazuje 320 milimetry. Znajdujemy się na wysokości 7,000 metrów. Temperatura—10°. Sivel i Croce bladzi i ja czuję się słabym. Wdycham tlen, który mnie nieco ożywia. Wznosimy się jeszcze. Sivel zwraca się do mnie i powiada: „Mamy wiele balastu, czyby nie wyrzucić czegokolwiek?“ Odpowiadam. „Rób, co chcesz.“ Odwraca się do Croce i zadaje mu toż samo pytanie; Croce spuszcza głowę, dawszy nader energiczny znak potwierdzający. W łódce znajdowało się przynajmniej 5 worków balastu (worek z balastem waży 25 kilogramów), cztery co najmniej, wisiały zewnątrz na sznurach. Sivel bierze nóż i odcina kolejno trzy sznurki. Trzy worki wypróżniają się i szybko wznosimy się. Nagle uczuwam się słabym do tego stopnia, że nie mogę nawet odwrócić głowy, aby spojrzeć na mych towarzyszów, którzy zdaje się usiedli. Probuję wziąć rurkę z tlenem, lecz nie mam siły podnieść ręki. Głowa moja była jeszcze dość przytomna. Wlepiłem oczy w barometr i widzę, jak skazówka przechodzi przez cyfrę ciśnienia 290, potem 280 i dalej. — Chcę zawołać: „Znajdujemy się na wysokości 8,000 metrów,“ lecz język mój silnie jest sparaliżowany. Nagle zamykam oczy i padam bez czucia, straciwszy zupełnie przytomność. Było około w pół do drugiej. O godzinie drugiej minucie ósmej na chwilę ocknąłem się. Balon szybko spadał, udało mi się odciąć worek z balastem, aby powstrzymać szybkość i zapisać w książeczce następne wyrazy, które tu przytaczam: „Opuszczamy się. Temperatura 8°. Wyrzucam ballast. Wyrokość—315. Opuszczamy się. Sivel i Croce leżą jeszcze omdleni w głębi łódki; opuszczamy się bardzo żywo.“ Zaledwie napisałem te wyrazy, kiedy mnie chwyciły dreszcze i znów wpadłem w omdlenie. Czułem działanie silnego wiatru świadczącego o nader szybkiem spadaniu. W kilka minut później, ktoś mnie trząsa za ręce i poznaję Croce, który przyszedł do siebie: „Rzucaj balast“ powiada: „Spuszczamy się.“ Zaledwie jednak mogłem otworzyć oczy: nie dostrzegłem, czy Sivel się ocknął; pamiętam że Croce odczepił aspiratora, którego wyrzucił za bort, równie jak balast, okrycie i t. p. Wszystko to jest wspomnieniem nadzwyczaj zamglonem, szybko zacierającem się, albowiem znów wpadam w stan bezczułości, jeszcze większy, aniżeli poprzednio, i zdaje mi się, jakobym usypiał snem wiecznym. Co się stało podówczas? Są-

dzę, że balon oswobodzony od balastu, nieprzenikliwy i ogrzany bardzo, wzniósł się raz jeszcze w wyższe sfery; około godziny kwandrans na czwartą otwieram oczy i czuję się oszołomionym i osłabionym; lecz umysł mój ożywia się. Balon spuszcza się z straszną szybkością. Łódka silnie się buja na wszystkie strony; pełzam na kolanach i biorę za ręce Sivela i Croce: „Sivel! Croce! wołam: „rozbudźcie się.” Dwaj moi towarzysze siedzieli w łódce, owinąwszy głowy płaszczami. Zbieram siły i probuję podnieść ich. Sivel ma twarz poczerniałą, oczy szkliste, usta roztwarte i napełnione krwią. U Croce Spinellego oczy były zamknięte a usta krwią nabiegłe. Nie mogę wypowiedzieć, co wtedy zaszło. Czułem straszny wicher od dołu ku górze. Znajdujemy się jeszcze na wysokości 6,000 metrów. W łódce były dwa worki, które wyrzuciłem. Wkrótce potem ziemia się przybliża; chcę wziąć nóż, aby odciąć linkę kotwiczną, lecz nie mogę go znaleźć. Poprostu straciłem przytomność i nieprzestawałem wołać: „Sivel! Sivel!” Na szczęście udało mi się odnaleźć nóż i odciąć kotwicę w chwili, kiedy to okazywało się potrzebnem. Wstrząśnienie o ziemię było nader silne. Balon stał się prawie płaskim i myślałem, że nie ruszy się już więcej z miejsca, lecz wiatr był silny i uniósł go. Kotwicy nie zdołałem zarzucić, a łódka wlekła się po polach. Trupy nieszczęśliwych przyjaciół rzucała na wszystkie strony, i co chwila obawiałem się że wypadną z łódki. Jednakże udało mi się schwycić sznurek od klapy, a balon zaczął się opróżniać, a następnie drzeć, skutkiem uderzenia o drzewo. Było to o godzinie czwartej. Kiedy spuściłem się na ziemię, uczułem silne gorączkowe rozdrażnienie i wkrótce padłem bez czucia, zbladłszy jak chusta; sądziłem, że pójdę za mymi przyjaciołmi na tamten świat. Jednakże zwolna oprzytomniałem i poszedłem ku zwłokom mych nieszczęśliwych towarzyszów, którzy już ostygli i byli skurczeni. Kazałem ich przenieść do sąsiedniej szopy. Łkania odejmowały mi i odejmują mowę dotychczas. Znajduję się w Siron, w pobliżu Le Blanc, gdzie doznałem najzupełniejszej gościnności. Nie byłem wstanie jeszcze nic jeść i jestem bardzo osłabiony. Ściskam was. Gaston Tissandier.“—Aeronauci, podczas swego przelotu, rzucili z łódki kilka zwitków z zapytaniami; większa część takowych oddaną została przez osoby, które je znalazły, „Towarzystwu żeglugi nadpowietrznej.” Jeden z tych zwitków, który spadł na pole w gminie Saint-Michel (w departamencie Indre) obryzgany jest krwią. Nareszcie aspirator, wyrzucony przez Croce'go za bort, podjęty został o godzinie drugiej po południu, w gminie Cournenin, w okręgu Romorantin.

* * *

W Częstochowie w dniu 10 kwietnia, grono amatorów przedstawiło 4-io aktową komedyją Fredry „Przyjaciele,“ w dniu 17 zaś t. m. małoletni amatorowie, na korzyść niezamożnych uczniów tamecznego progimazyjum, powtórzą przedstawienie złożone z komedyjek: „Dobre dzieci,“ „Prima Aprilis“ i „Smutek i uciecha,“ dwie ostatnie ze śpiewkami,—na zakończenie zaś obraz z żywych osób „Anioł Stróż.“

* * *

Czytamy w „*Kuryjerze Codziennym*:“ Niedawno przyjęty został do szpitala w Radomiu nędzarz umierający prawie z głodu, który pomimo udzielonych mu starań i opieki, nie mógł już wyzdrowieć. Spowiadając się przed śmiercią, wyznał duchownemu, że ma pieniądze, które oddał do przechowania intendentowi. Ten ostatni zapytany o to, zaprzeczył, jakoby o pieniądzach miał cokolwiek wiedzieć, lecz przypomniał sobie, że nędzarz ten oddał tylko brudny pakiecik, w którym miał być grzebień i lusterko. Wynaleziono zatem wśród innych do schowania oddanych rupieci ową paczkę, i cóż w niej znaleziono?—Oto tylko.... 1800 rs. listami zastawnemi i przeszło 100 rs. banknotami wyszłemi z kursu. Winszujemy niespodziewanego spadku sukcesorom!

* * *

Trzech śmiałych aeronautów: Sivel, Croce Spineli i Gaston Tissandier, przedsięwzięło śmiałą podróż napowietrzną, która w stanie nadzwyczajnego zaciekawienia trzymała nie tylko świat naukowy, ale wszystkich bez wyjątku i to nie tylko we Francyi, ale na całym świecie. Każdy z trzech podróżników miał powierzoną sobie specyjalną czynność. Balon miał się wznieść do możliwej wysokości i z tego powodu konstrukcyja jego odróżniała się od praktykowanej dotąd konstrukcyi znanych balonów. Różnica zaś ta tyczyła się zarówno materyjału z jakiego był wyrobiony, jak i sposobu spojeń i t. p., czego zresztą dla braku miejsca nie wymieniamy tutaj. Po upływie sześciu godzin otrzymano depeszę, że balon spadł w departamencie l'Indre, i.... że zawiera trzech trupów. Po dwóch jednakże godzinach otrzymano bliższe szczegóły, mianowicie, że balon spadł w Ciron, i że z trzech aeronautów tylko Gaston Tissandier pozostał przy życiu. Balon wzniósł się do wysokości 8,000 metrów a promienie słoneczne paliły prawie podróżników. Na takiej wysokości otworzono wentyl, wskutek czego balon spadł do wysokości 6,000 metrów. Sivel i Croce mieli usta pełne krwi. Tissandier jednak sądząc że spadanie jest zbyt szybkie, rzucił przyrząd zwany „aspiratorem,“ lecz balon wzniósł się jeszcze wyżej. Wtedy widząc całą okropność położenia, Tissandier chciał otworzyć wentyl, lecz spostrzegł, że współtowarzysze jego już nie żyli. Po powtórnem otworzeniu wentyla balon spadł w miejscu wyżej pomienionem.

* * *

Urzędowy dziennik pruski „Postamtsblat“ podaje następujący spis stacyj pocztowych, których nazwy polskie przemienione na niemieckie: Białośliwie na Weissenhöhe, Cierpice na Schirpitz, Gębice na Gombitz, Wielkie Murzynno na Gross-Morin, Janowiec na Janowitz, Małe Sitno na Klein-Schittno, Kruszwica na Kruschwitz, Labiszyn na Labischin, Miasteczko na Friedheim, Osiek na Netzthal, Ryczywół na Ritschenwalde, Trzemeszno na Tremessen, Tuszkowo na Bischofstal, Węgrowiec na Wongrowitz, Złotnik na Güldenhof, Krzyżanowice na Kreuzenort, Turczno na Tauer, Zblewo na Hoch-Stublau. Do powyższych dodać jeszcze należy nieogłoszone dotąd: Jarocin na Jarotschin, Kuźlin na Kuschlin, Mieszków na Mieschkow, Nietomyśl na Neutomischel, Rawicz na Rawitsch, Santomyśl na Santomischel, Trzcinica na Strenze.

* * *

W Paryżu istnieje Towarzystwo mające na celu polepszenia losu kobiet, posiadające własny swój organ wychodzący pod napisem: *L' avenir des Femmes*. Dziennik ten ogłosił adres do Wiktora Hugo, w którym do Towarzystwa należące panie proszą Wiktora Hugo o poparcie dla ich Towarzystwa. Wiktor Hugo odpowiedział na adres jak następuje: „Moje panie! Otrzymałem wasz list, który jest dla mnie zaszczytem. Znam wasze szlachetne i sprawiedliwe żądania. W społeczeństwie naszem jakiem jest, muszą kobiety ulegać i cierpieć i mają prawo żądać lepszego losu. Pojmuję to prawo i całe życie moje było i jest na wasze usługi. Mężczyzna był zagadką ośmnastego stulecia a kobieta jest zagadką dziewiętnastego. Kto mówi o kobiecie, mówi i o dziecku czyli o przyszłości. Skoro tak się postawi tę kwestyję, na jaw występuje cała jej doniosłość. Na rozwiązaniu tej kwestyi polega ogólne uspokojenie społeczeństwa. Rzadkie i niebezpieczne położenie: w gruncie rzeczy zależą mężczyzni od was, kobieta trzyma na uwięzi serce mężczyzny. W obec prawa jest kobieta małoletnią, niezdolną do żadnego czynu, pozbawiona praw obywatelskich, słowem jest niczem. W obec rodziny jest kobieta wszystkiem, bo jest matką. Ognisko rodzinne pozyskuje tylko przez kobietę swoje znaczenie, w domu jest ona panią dobrego i złego. Kobieta może dla mężczyzny wszystko uczynić, dla siebie nic. Nierozsądną jest rzeczą, że prawo robi kobietę tak słabą, podczas gdy ona w rzeczywistości jest silną. My powinniśmy uznać tę słabość i obronić jej, musimy uznać tę siłę i radzić nad nią. To jest obowiązkiem mężczyzny i interesem jego zarazem. Nie przestanę powtarzać tego. Kwestyja jest postawioną i powinna być rozwiązaną. Kto ciężary ponosi, musi mieć udział i w pewnych prawach. Połowa rodu ludzkiego wykluczona jest od równouprawnienia, my musimy dać jej to uprawnienie. Będzie to najwspanialszym czynem naszego wielkiego stulecia: do praw mężczyzny dodać jako równowagę prawo kobiety i tym sposobem zrównoważyć prawa z obyczajami. Przyjmijcie panie wyraz mego najgłębszego szacunku

„Wiktor Hugo“.

SPROSTOWANIE.

W zeszłym Nrze w wierszu Mohorta szp. 3. wier. 20 zamiast *o posadach* powinno być *w posadach*. —szp. 4 w. 9 zamiast *płonął*, *płonie*; w. 22 zamiast *ukazałeś*, *ukazałaś*.

Дозволено Цензурою. Варшава 7 (19) Мая 1875 г.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.